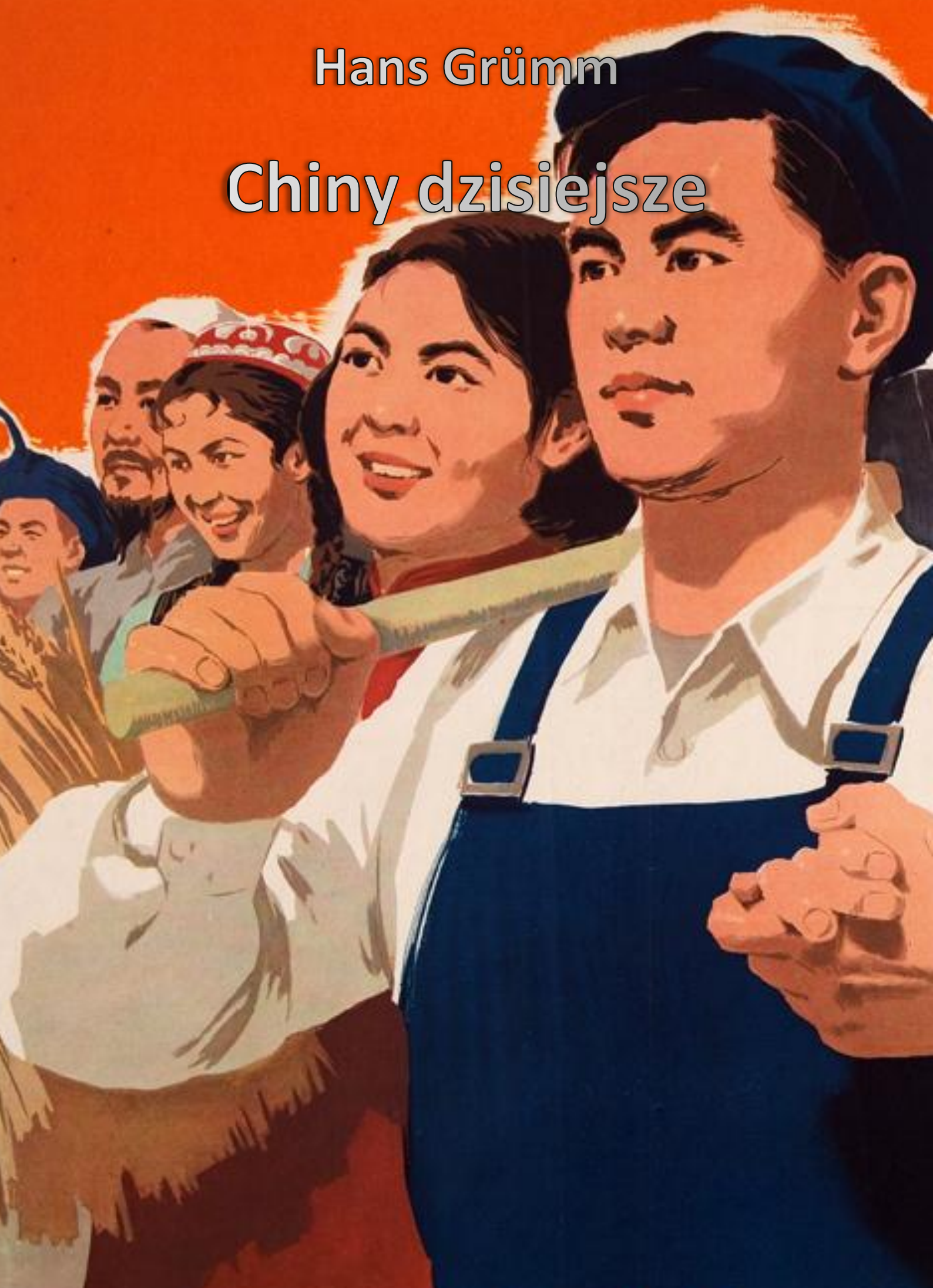


Hans Grümm

Chiny dzisiejsze



<http://maopd.wordpress.com/>

Książka została wydana po raz pierwszy w 1951 roku przez wydawnictwo „Wiedza Powszechna”



Maoistowski Projekt Dokumentacyjny

2014

Bratnie myśli nie znają granic ni kordonów

Wu Hsiu-czen, opiekun naszej delegacji, przechodzi korytarzami wagonów pociągu specjalnego i zawiadamia: „Za godzinę będziemy w Cicikarze.”

Za oknami zapada już gęsty zmrok. Wzdłuż toru ciągną się łańcuchy wzgórz skąpo porośniętych trawą. Krajobraz przywodzi na myśl film Pudowkina „Burza nad Azją”. Dolinę, którą właśnie przejeżdżamy, porasta niskopienny las. Powykrzywiane konary drzew przypominają dziwaczne znaki chińskiego pisma. Myślą cofam się w przeszłość.

Młodzież wszystkich narodów

23 sierpnia 1950 r. niespełna 3 tygodnie temu opuściłem Wiedeń. Ostatnie wrażenie, jakie wyniosłem z miasta, było przygnębiające. Ruiny Dworca Północno-Zachodniego, brudne strzępy papieru, roznoszone przez wiatr po pustych peronach, przyćmione światła — oto oblicze, jakie ukazuje Austria wschodnim sąsiadom. Jakież kontrast w porównaniu z pełną życia, wesołą, niezmordowaną rozbudowującą się stolicą nowej Czechosłowacji — Pragą.

W Pradze musieliśmy czekać 6 dni na pozostałych uczestników delegacji wyjeżdżającej do Chin, którzy przybywali ze wszystkich stron świata. Naszą pierwszą oficjalną czynnością była konferencja prasowa w Domu Ludowym. Kierownik delegacji, sekretarz generalny Światowej Federacji Młodzieży Demokratycznej, Ennco Boccara poinformował dziennikarzy o składzie i zadaniach naszej delegacji. Do Federacji należy 70 milionów młodzieży z 80 z górą krajów. Spośród nich 32 kraje wysłały na zaproszenie Nowej Demokratycznej Ligi Młodzieży Chin 41 przedstawicieli na dłuższy pobyt w Chinach. Naszym zadaniem jest — po wspaniałych zwycięstwach ludu chińskiego nad reakcją kuomintangowską — nawiązać kontakt z nim, zwłaszcza zaś z jego młodzieżą i w ten sposób wzmocnić międzynarodową solidarność młodzieży wszystkich krajów walczącej o pokój i o lepsze jutro świata. Głównym punktem programu naszego pobytu w Chinach będzie udział w uroczystościach 1 października (pierwszej rocznicy ogłoszenia Chińskiej Republiki Ludowej) w Pekinie.

W skład delegacji wchodzi młodzież ze wszystkich części świata, z krajów o różnych ustrojach społecznych, wyznająca różne religie, reprezentująca różne rasy i różne światopoglądy. Młodzi delegaci — przedstawiciele postępowej młodzieży świata!

Samoloty przeniosły nas z Pragi do wspaniałej Moskwy, ośrodka budującego się nowego świata — świata socjalizmu. Byliśmy tam przez 5 niezapomnianych dni gośćmi Komsomołu. Ogarnęła nas fala niezwykłych wrażeń i przeżyć: Mauzoleum Lenina, Plac Czerwony, Galeria Tretiakowska, Muzeum na Kremlu, Opera, wspólne zebranie z młodzieżą moskiewską, rozmowy z przedstawicielami radzieckiej nauki i sztuki. Omal nie zapomnieliśmy, że celem naszej podróży są Chiny.

Z Moskwy ekspresem transsyberyjskim przemierzyliśmy 6 800 kilometrów do radzieckiej stacji granicznej Otpor. W tym komfortowo urządzonego pociągu spędziliśmy sześć i pół dnia. W skład ekspresu wchodziły wagony sypialne, restauracyjny i bagażowy. Była również łazienka, zakład fryzjerski, biblioteka, instalacja radiowa i ambulatorium lekarskie. Pociąg dudnił po szynach niezmiernie długo. Pod Swierdłowskiem przejechaliśmy Ural, który przedstawił się zgoła nieromantycznie w postaci lesistych pasm górskich. Następnie w ciągu 3 dni jechaliśmy przez równinę syberyjską. Całymi godzinami mijaliśmy gęste lasy brzoźowe. Później pojawiły się za oknami bezkresne pola, po których kombajny i traktory sunęły jak statki po morzu. Potem znów miasta: Tiumen, Omsk, Nowosybirsk, Krasnojarsk — gigantyczne ośrodki socjalistycznego przeobrażenia Syberii. Przemykały za oknami rozległe kompleksy fabryczne, lasy kominów, zupełnie nowe dzielnice miast, wciąż nowe i nowe budowle. Mijały nas ciągle pociągi załadowane samochodami, traktorami, kombajnami, węglem i stalą. Cała Syberia sprawiała wrażenie olbrzymiego placu budowy, na którym ustawicznie wre praca.

Dalszym etapem podróży był siedmiogodzinny przejazd wzdłuż Bajkału. Niezliczone pieśni o Jeziorze Bajkalskim wiernie odzwierciedlają melancholijny charakter tego zbiornika zimnych wód. Jezioro wydało nam się podobne do olbrzymiego ołowianego zwierciadła, okolonego wieńcami nagich gór o szczytach tonących w chmurach. Na terenie Republiki Buriat-Mongolskiej pod Ułan Ude łańcuchy górskie zbliżają się do siebie. Świerkowe lasy i drewniane domki nadają krajobrazowi bardziej swojski charakter. Pod koniec podróży w pobliżu granicy chińskiej wynurzają się charakterystyczne pasma wzgórz stepów mongolskich.

Tak podróżowaliśmy sześć i pół dnia. Codziennie traciliśmy godzinę snu, którą odzyskamy dopiero w powrotnej drodze; trzeba było bowiem przesuwając naprzód wskazówki zegarka w miarę, jak zmieniała się długość geograficzna. Niemal cały tydzień przebiegał nasz pociąg niezmiernie przestrzenią Związku Radzieckiego, a przecież przebyliśmy dopiero część jego terytorium. Jakże potężny, wielki, niezwykły kraj stanowi zaplecze sił pokoju i demokracji na całym świecie.

W ekspresie transsyberyjskim nie sposób było się nudzić. Nie często nadarza się sposobność spotkania z młodzieżą z przeszło 30 krajów. Dlatego też wykorzystywaliśmy każdą chwilę, by poznać się wzajemnie i zaznajomić z walką młodzieży w różnych krajach. Związek Radziecki, wszystkie europejskie kraje demokracji ludowej i Niemiecka Republika Demokratyczna wydelegowały do Chin najwybitniejszych działaczy swych organizacji młodzieżowych. Przedstawiciele Korei i Mongolskiej Republiki Ludowej dołączyli się do nas w Mukdenie. Ale nie tylko wolne narody wysłały delegatów; większość przybyła z krajów kapitalistycznych i kolonii. Przyjechała także młoda kobieta ze Stanów Zjednoczonych. Nazwiska nie mogę wymienić, ponieważ ten kraj „największej wolności na świecie” karze więzieniem spojrzenie

za „żelazną kurtynę”, którą sam stworzył. Młodzi Murzyni amerykańscy wydelegowali Davisa Mac Canna. I Amerykanka, i Murzyn odetchnęli z ulgą po wjeździe do Czechosłowacji. Tutaj bowiem — w przeciwieństwie do Stanów Zjednoczonych — mogli oboje pomimo odmiennej barwy skóry mieszkać w tym samym hotelu i wchodzić przez te same drzwi do kawiarni.

Szczególne wrażenie wywarło spotkanie się w naszej delegacji przedstawicieli postępowej młodzieży krajów imperialistycznych z delegatami młodzieży krajów zależnych, uciśnionych: Anglika z Hindusem i studentem z Burmy, Francuza z delegatem Wietnamu, Holendra z Indonezyjczykiem. Głęboka i serdeczna przyjaźń, jaka się wkrótce nawiązała między tymi młodymi ludźmi, jest symbolem wspaniałego frontu przeciwoimperialistycznego i rękojmią nieuniknionej klęski imperializmu tak na zewnętrznym jak i na wewnętrznym froncie. Australijczyk i Pers reprezentowali Międzynarodowy Związek Studentów liczący ponad 5 milionów członków.

Oto przedstawiciele młodego pokolenia ludzi jutra. Czy istnieje na świecie siła zdolna przeciwstawić się tej młodzieży? Nie — takiej siły nie ma!

Uroczyste przyjęcie

Za oknami zaczynają migotać światła. Pociąg dudni po zwrotnicach. Po chwili wjeżdża na dworzec Cicikaru, pierwszego większego miasta na terytorium Chin. Gdy stajemy w drzwiach wagonu, wita nas burzliwa owacja: śpiew, muzyka, oklaski. Na peronie pełno ludzi, którzy teraz podbiegają do pociągu. Jest ich z 5 do 6 tysięcy.

Widzimy niezwykle barwny i żywy obraz radości i entuzjazmu. Na pierwszym planie stoją małe dziewczątka z olbrzymimi bukietami. Uśmiechają się do nas urocze twarzązki dzieci o pełnych, zdrowych policzkach i kruczoczarnych, krótko przyciętych włosach — istny sklep z zabawkami pełen przemiłych lalek. Za nimi przeciskają się ku nam starsi chłopcy i dziewczęta — pragną przyjrzeć się lepiej delegatom i uściskać ich dłonie. Ponad głowami flagi i transparenty. Widzimy barwy narodowe wszystkich reprezentowanych w delegacji narodów, począwszy od radzieckiej aż po gwiazdzisty sztandar Stanów Zjednoczonych. Napisy we wszystkich możliwych językach głoszą: „Niech żyje Światowa Federacja Młodzieży Demokratycznej!” „Niech żyje pokój na całym świecie!” Nie brak też portretów Stalina, Mao Tse-tunga i najwybitniejszych przywódców międzynarodowego ruchu robotniczego: Kim Ir Sena, Ho Chi Minha Togliattiego, Thoreza, Bieruta, Piecka i innych. Grupa mężczyzn w żółto-brunatnych mundurach, zapewne żołnierzy Armii Ludowej, usiłuje utorować wąskie przejście, którym moglibyśmy wyjść z pociągu. Ta czynność urzędowa odbywa się w sposób niezwykle dla nas, Austriaków. Nie słychać szorstkiego okrzyku „Cofnąć się!” Natomiast rozwija się pełna temperamentu ożywiona dyskusja, apelująca

najwidoczniej do rozsądku napierającego tłumu. Kilka osób (dowiedzieliśmy się później, że był wśród nich miejscowy burmistrz i wiceprezydent rządu prowincjonalnego) wygłasza przemówienia powitalne. Ale zarówno słowa mówców jak i głosy naszej grupy tłumaczy, dokonywającej przekładu, giną wśród hucznych okrzyków: „Wanzaj” (dosłownie „dziesięć tysięcy lat”, tzn. mniej więcej „niech żyje”) i potężnego dźwięku dwóch orkiestr.

Małe dziewczątka przeciskają się z bukietami do delegacji i z pionierskim pozdrowieniem wręczają nam kwiaty. Niektóre z nich są nieśmiałe: podają kwiaty jak mogą najprędzej i zaraz chowają się w napierającym, tłoczącym się i wznoszącym okrzyki tłumie. Przeważnie jednak dziewczątka są bardzo rezolutne i bystre: próbują nawiązać rozmowę i przekazać pozdrowienia. Największym zainteresowaniem cieszy się delegat młodzieży afrykańskiej Moumouni. Rzuciło się do niego troje czy czworo uroczych dziewczątek. Stoi teraz zakłopotany i usiłuje utrzymać w równowadze naręcze kwiatów. Jednej z dziewczynek udało się ująć Moumouniego za rękę. Cofnęła się zaraz o parę kroków i przygląda się uważnie swojej dłoni, czy też nie znajdzie na niej czarnych śladów. Helmut Hartwig z NRD i Burmeńczyk Tun Szein wygłaszają przed mikrofonem krótkie przemówienie powitalne, które sprawni tłumacze przekładają na język chiński. Wszyscy słuchają w skupieniu. Każde zdanie witane jest długotrwałą owacją. Powiewają chorągiewki, rozbrzmiewają okrzyki, małe dziewczątka podskakują z zachwytu. Z kolei dźwięczy Hymn Młodzieży Demokratycznej:

Naprzód, młodzieży świata,

Nas braterski połączył dziś marsz,

Groźne przeminą lata,

Hej, kto miody, pójdź z nami i walcz...

W marszu po szczęście, Pokój i radość

Zgodnie nasz dźwięczy krok.

W 30 z górą językach opowiada się młodzież za pokojem i przyjaźnią. Większość delegatów śpiewa głosem zmatowiałym ze wzruszenia, które ścisza gardło. Chłopcy chińscy śpiewają pełną piersią, dziewczęta dźwięcznymi, dziecięcymi głosami.

Prowadzą nas przez dworzec na jasno oświetlony plac. Gmach dworca jest masywnym czteropiętrowym nowoczesnym budynkiem z żelbetonu. Dowiadujemy się od tłumaczy, że został zbudowany podczas okupacji japońskiej. Na rogach i w środku gmachu znajdują się dobrze architektonicznie wkomponowane gniazda karabinów maszynowych, a na dachu — najwidoczniej później dorobione — blanki i strzelnice. Oto „wkład” Kuomintangu do

nowoczesnej architektury chińskiej. Znienawidzony system zabezpieczał się w ten sposób przed „miłością” swego ludu.

Glomm Tundse z Audili

Autobus sunie przez jasno oświetlone i uroczyście przybrane ulice. Przechodnie poznają delegatów, przystają, wznoszą okrzyki, pozdrawiają gestami. Zatrzymujemy się przed wielkim, udekorowanym flagami gmachem Klubu Kolejarzy. W pięknej sali teatralnej, obliczonej na około 1 500 osób, witają delegatów burzliwymi oklaskami oczekujący ich tam chłopcy i dziewczęta. Holują nas poprzez tłum do pierwszych rzędów krzesel. Przez kilka minut rozbrzmiewa gwar okrzyków, którymi witamy się nawzajem. Jang Jing-czi, wiceprezydent rządu prowincji Heilungkiang, liczącej pięć i pół miliona mieszkańców, wygłasza przemówienie powitalne.

Wang Ju-lu, uczennica gimnazjum, dziewczyna z bujnymi czarnymi warkoczami, przekłada jego mowę na bezbłędny język angielski. Przy okazji objaśnia mi kilka skomplikowanych znaków chińskiego pisma. Chińska nazwa Austrii — wyjaśnia — brzmi „Au di li”. Nazwy chińskie (w tym wypadku Audili — Austria) usiłują dostosować się brzmieniem do nazw obcojęzycznych. Sylaba Au oznacza mniej więcej „Wielki kraj, w którym rośnie dużo ryżu”. Mile zaskoczony takim wytłumaczeniem, staram się wyjaśnić mej przyjaciółce Ju-lu, że Austria nie jest wielka, a ryż można znaleźć tam tylko w magazynach czarnego rynku. Trochę z przekąsem odpowiada: „O tym wiem już od czwartej klasy z nauki geografii. Pozwól mi tylko dokończyć. Dobierając nazwę chińską zgodną z brzmieniem nazwy cudzoziemskiej staramy się o to, by otrzymać wyraz o możliwie pięknym i miłym znaczeniu.”

Oczywiście interesuje mnie, jak będzie brzmiało po chińsku moje nazwisko. Ju-lu jest zakłopotana. „Niestety, nie ma w naszym języku ani „r” ani „ü”. Możemy jednak zestawić trzy sylaby „Go”, „Lo” i „Mu”, które w połączeniu będą wymawiać się mniej więcej jak „Glomm”. Do tego dojdzie jeszcze słowo „Tundse”, czyli „towarzysz”. Przekład Ju-lu okazał się trafny. Odtąd miałem przez 6 tygodni wędrować po Chinach jako „Glomm Tundse z Audili”.

Tymczasem upłynęła krótka przerwa po przemówieniach powitalnych i rozpoczął się koncert na cześć delegacji. Najpierw wystąpił chór uczniów szkoły średniej. Twarze ich były świeże i urocze, a wygląd tak młodociany, że dwukrotnie informowałem się, czy to naprawdę już uczniowie gimnazjum. Śpiewali współczesne chińskie pieśni młodzieżowe wysokim, niemal że piskliwym falsetem. Melodia tych pieśni jest prosta i — muszę użyć nieco staroświeckiego wyrażenia — wdzięczna. Odznaczają się one niezwykle dynamiką, rozmachem i bojowością. Wdzięk i przymilność wiąże się w nich dziwnie harmonijnie z jasną

świadomością i zdecydowaniem. Obdarzyliśmy rzęsykami oklaskami uczniów z uśmiechem schodzących ze sceny.

Następnym punktem programu był występ orkiestry złożonej ze starych instrumentów ludowych. Były wśród nich flety, bębny, kotły i czyniele różnej wielkości, a także nieznan nam instrument, rodzaj organków, składających się z dwunastu rozmaitej długości piszczałek, wydających dźwięk podobny do fujarek. Nie brakło i chińskich skrzypiec, których długa szyjka jest osadzona na pudle rezonansowym podobnym do puszki od konserw. Z dwóch strun tych skrzypiec można wydobyć dziwnie zawodzące, prawie łkające tony. Dla nieprzyzwyczajonego ucha chińska muzyka ludowa brzmi osobliwie, bynajmniej jednak nie przykro, ale raczej pociągająco. Nęci w niej czar egzotyki. Chciałoby się słuchać jej bez końca. Teraz dopiero uprzytamniam sobie w pełni, że jestem w Chinach. Muzyka ta różni się na szczęście o całe niebo od takich jej „upiększonych” naśladownictw europejskich, jak na przykład operetka „Kraina uśmiechu”. Wykonywany przez orkiestrę utwór nie jest trudny do zrozumienia. Głęboka, melancholijna, pełna smutku melodia przechodzi przez, fortissimo wszystkich instrumentów perkusyjnych w takt radosnego marsza. Ucisk — walka ludu — wyzwolenie — oto treść utworu. Trudno wprost wypowiedzieć, z jaką niezwykłą subtelnością nowoczesna, postępową treść wkomponowana została w formy starej muzyki ludowej. Wyczuwa się, że to idealne zespolenie formy z treścią jest wytworem kilku tysięcy lat rozwoju kultury — i to nie tylko rozwoju form artystycznych, lecz również wielowiekowej walki wyzwoleniczej utalentowanego narodu, teraz dopiero uwiecznionej zwycięstwem. Gratuluję Ju-lu wspaniałego wykonania koncertu przez jej rodaków i wyrażam podziw, że stosunkowo niewielkie miasto Cicikar posiada tak wspaniałą orkiestrę. Dziewczyna odpowiada ze zdumieniem: „To przecież nie jest nasza miejska orkiestra zawodowa, lecz amatorski zespół kolejarzy, którzy w chwilach wolnych od pracy ćwiczą w swoim klubie. Mamy tu parę tuzinów orkiestr, chórów i tanecznych zespołów robotniczych.”

Nowa opera i taniec jangko

Następnie inny zespół amatorski wykonuje nowoczesną operę chińską. Jest to krótka jednoaktówka z życia ludu, na którą składa się śpiew, taniec i dialog. Ukazują się trzy kobiety w zachwycających jedwabnych piżamach. Krążą po scenie zgrabnym tanecznym krokiem — jest to słynny chiński taniec ludowy jangko — i śpiewają krótkie piosenki. Ju-lu wyjaśnia mi, że są to żony — chłopca, żołnierza i robotnika, które dowiedziały się, że ich mężowie otrzymali odznaczenia — dwaj za wspaniałe wyniki w pracy na roli czy też w fabryce, trzeci za męstwo na polu walki. Każda z kobiet wystawia przed towarzyszkami bohaterskie czyny swego męża. W następnej scenie występują mężowie trzech niewiast. Wszyscy rzeczywiście zdobyli odznaczenia w postaci wielkich czerwonych kwiatów wręczanych wybranym przez lud bohaterom. Postanawiają jednak zażartować sobie z małżonek i chowają kwiaty. Z kolei

żony, w zależności od temperamentu, mniej lub więcej dosadnie besztają rzekomych bumelantów i oświadczają jasno i wyraźnie, że nie chcą ich widzieć na oczy, dopóki nie przyjdą do domu z odznaczeniami. W końcu mężczyźni z przebiegłym uśmiechem wydobywają ukryte kwiaty i następuje ogólne pojednanie. Na zakończenie rozbrzmiewa pieśń chóralna o nowych Chinach, Chinach Ludowych, w których panami i bohaterami są ludzie prości: robotnicy, chłopci i żołnierze, a nie feudalne pasibrzuchy. I w tej wesołej sztuce sens polityczny nie sprawia wrażenia sztucznie doczepionego do poszczególnych postaci. Jej forma i treść są z jednego odlewu. Lud przedstawia w niej bliskie mu zagadnienia i własne życie. Widać to choćby z zachowania się naszych młodych gospodarzy, którzy podczas przedstawienia wymieniają między sobą rzeczowe uwagi, a po jego zakończeniu entuzjastycznie oklaskują aktorów — młodych ludzi ze swego środowiska. Po operze zespół amatorski wykonuje sławny taniec jangko. Występują prześliczne dziewczęta o zgrabnych noskach, błyszczących oczach i uróżowanych policzkach, odziane w przepyszne jedwabne kostiumy. Wraz z nimi wychodzą na scenę zgrabni, dumni chłopcy, również w jaskrawych szatach jedwabnych, z kunsztownie zawiązanymi na głowie chustkami. Taniec zaczyna się w takt przenikliwej, porywającej swoją naiwnością melodii. Kroki taneczne są zupełnie proste: trzy naprzód, jeden wstecz.

Ale te proste kroki mają najróżniejsze wariacje, przy czym, jak nam wyjaśniają, najbardziej chodzi o lekkość i wdzięk poruszeń. Są one ze wszech miar doskonałe. Figury taneczne wciąż się zmieniają. Oto pary krążą dokoła powiewającej flagi, potem ukazuje się grupa tancerzy z pomalowanymi na czerwono bębnami, w które uderzają wykonując jednocześnie skomplikowane figury taneczne. Następuje taniec z kolorowymi laskami, na końcach których umocowane są dzwoneczki dźwięczące w takt melodii. Z kolei widzimy istny wir barwnych wstęg jedwabnych, którym tancerze szybkimi ruchami nadają kształt spiral lub też kunsztownie wyrzucają je na wszystkie strony. Mimo woli — podobnie jak widzowie z dalszych rzędów — zrywamy się z miejsc i klaszczemy w takt tancerzom wirującym w coraz szybszym, coraz bardziej zawrotnym tempie. Nas samych zdaje się porywać do tańca ten kolorowy, wirujący obraz radości życia, jaki widzimy na scenie. Gdy tancerze w ostatniej figurze układają, powiewając w powietrzu jedwabnymi wstęgami, wielką gwiazdę radziecką, wbiegamy na scenę, by podziękować naszym przyjaciom za wspaniały pokaz, który nas do głębi przejął i oczarował.

Patriotyzm i internacjonalizm

W autobusie odwożącym nas na dworzec próbuję zrobić bilans pierwszego wieczoru w Chinach. Przedstawiciele młodzieży różnych krajów zasypano kwiatami i serdecznymi pozdrowieniami. Okazano nam tyle przyjaźni, przychylności, że aż przykro przypomnieć sobie, jak bardzo oschłe, rzeczowe, nieżyczliwe stały się stosunki pomiędzy ludźmi w

naszym kraju. Gdzie szukać źródła tej przyjaźni zawartej w ciągu kilku godzin przez młodych ludzi, których nieraz rozdzielają od siebie lądy i oceany, którzy się nigdy w życiu dotąd nie widzieli i zapewne więcej nie zobaczą?

Właściwie wspaniałe przyjęcie, jakie nam zgotowała młodzież chińska, było do pewnego stopnia niespodzianką dla nas wszystkich. Wiedzieliśmy wprawdzie, że młodzież ta jest wychowana w duchu internacjonalizmu, wiedzieliśmy jednak również, że naród chiński przez sto lat z górą zdobywał gorzkie doświadczenia w stosunkach z Europejczykami i Amerykanami. Misjonarze i handlarze opium, doradcy wojskowi i kapitalistyczni monopoliści tudzież awanturnicy z całego świata traktowali Chiny jako kraj wielkich możliwości, w którym bez trudu można zdobyć majątek. Wyzyskiwali i łupili bezwstydnie lud chiński. Kto usiłował przeciwstawić się cudzoziemskim łupieżcom, narażał się na pewną śmierć. Zginęły z ich rąk dziesiątki tysięcy chińskich patriotów. Trzeba było z górą dwudziestu lat ofiarnej walki, by wyrzucić z Chin zagranicznych imperialistów i ich chińskich służalców. Mając to na uwadze, mogliśmy żywić obawę, że spotkamy w Chinach wielu ludzi ogarniętych ślepą nienawiścią do wszystkich „długonosych”, jak się tu określa Europejczyków i Amerykanów (w oczach Chińczyka wielkość narządu węchu stanowi cechę bardziej wyróżniającą niż kolor skóry). Pierwszy dzień pobytu w Chinach wykazał, że tak nie jest. Przeciwnie — lud chiński, a zwłaszcza jego młodzież, przyjęli nas z nieporównanym zapałem, okazali wzruszającą gościnność i przyjaźń. Taką postawę można wyjaśnić tylko rzetelnym wychowaniem w duchu internacjonalizmu i niezwykle wysokim poziomem uświadomienia politycznego szerokich mas. Ju-lu potwierdziła moje przypuszczenia: „To prawda, dotychczas doznaliśmy więcej złego niż dobrego od Europejczyków i Amerykanów, przebywających w naszym kraju. Ale Partia Komunistyczna i towarzysz Mao Tse-tung uświadomili nas, że nie można sądzić ludzi na podstawie koloru ich skóry. Z zacieklą nienawiścią zwalczaliśmy każdego, kto napadał i ciemniżył nasz kraj — bez względu na to, jak wyglądał. Walczyliśmy przecież także ze zdrajcami spośród naszego własnego narodu. Wiemy jednak również, że szerokie masy robotnicze i chłopskie narodów europejskich i amerykańskich walczą z tym samym, co i my, wrogiem. Te milionowe masy są naszymi przyjaciółmi. One udzielały nam wydatnego poparcia przez odważne wystąpienia w obronie Chin Ludowych w latach naszej najcięższej walki. Teraz gdy wywalczyliśmy wolność i staliśmy się panami we własnym kraju, jest naszym obowiązkiem nieść pomoc walczącym o wolność narodom na całej kuli ziemskiej. Wy jesteście przedstawicielami żywiołów demokratycznych na całym świecie, dlatego uważamy was za przyjaciół, dlatego was kochamy. Trudna na pozór do pojęcia tajemnica naszej „przyjaźni od pierwszego wejrzenia” polega na tym, że ożywia nas wspólne dążenie: pragnienie stworzenia szczęśliwego, pokojowego świata. Ta myśl braterska przewycięży wszystkie granice!”

Chleb dla wszystkich

Pociąg zawiózł nas na małą stacyjkę, około 120 kilometrów na północ od Cicikaru. Mamy tu zwiedzić jedno z nowopowstałych państwowych gospodarstw rolnych, którego zadaniem jest wprowadzenie nowoczesnych metod do chińskiej gospodarki rolnej. Przesiadamy do samochodów ciężarowych, które oczekują nas przed dworcem. Prawie połowa z nich to amerykańskie Studebakery, resztę stanowią półtoratonówki z moskiewskich zakładów im. Stalina. W Chinach na razie jeszcze nie produkuje się samochodów.

Oblicze dawnych Chin

Nasza karawana przejeżdża przez małe miasteczko wznosząc ogromne tumany kurzu. Domki są przeważnie jednopiętrowe, zbudowane z cegły; od strony ulicy znajdują się w nich zazwyczaj otwarte sklepy nie mające wystaw i nie oddzielone niczym od ulicznego ruchu. W tych kramach ulicznych wykonują swój zawód handlarze i rzemieślnicy. Barwne chorągiewki z wymalowanymi na nich znakami chińskiego pisma bądź też festony z różnokolorowego papieru zastępują europejskie szyldy. Ryba na długim drążku oznacza, że tu mieści się gospoda. Wciąż mijamy ukwiecone transparenty z powitalnymi hasłami. Widocznie oczekiwano naszego przyjazdu, bo na rogach ulic stoją gromady ludzi witających nas głośnymi okrzykami i machających do nas rękami. Nieraz jedziemy setki metrów wśród manifestującego na naszą cześć żywego szpaleru. Dla takiego miasteczka przejazd delegatów z tylu rozmaitych krajów musi stanowić nie lada sensację. Ze sklepików fryzjerskich wybiegają na wpół ogoleni klienci — spoglądają na nas szeroko rozwartymi oczyma, zrywają z szyi ręczniki fryzjerskie i powiewają nimi. Z jakiejś piekarni wyskakują obnażeni po pas, złani potem czeladnicy i szczerząc zęby w uśmiechu pokazują jedni drugim „tai-piau” (delegatów). Samochody przeciskają się przez wąską bramę miasta i znów jedziemy wśród pól.

Reformę rolną przeprowadzono w tych stronach rok lub dwa lata temu. Pola są podzielone na regularne pasy i uprawiane nadzwyczaj intensywnie z wykorzystaniem każdego metra kwadratowego. Najczęściej rosną na nich wysokie rośliny przypominające kukurydzę, od której różnią się tym, że zamiast kaczanów mają kiście jak proso. Jest to kaoliang, podstawowy gatunek zboża uprawianego na północnym wschodzie Chin, jak nas objaśnia urocza mała Liau, jedna z licznego grona tłumaczek.

Jadące przed nami wozy podnoszą na polnej drodze takie tumany kurzu, że wszyscy zasłaniają sobie chusteczkami nosy i usta. Tłumacze wyciągają z kieszeni specjalnie do tego celu przystosowane maseczki, zrobione z kawałka gazy opatrunkowej, którą zasłania się nos i usta, a zawiązuje poza uszami. Spotkaliśmy już wielu ludzi z takimi białymi maseczkami na twarzy. Wyjaśniono nam, że lekarze zalecają je nie tylko dla ochrony przed kurzem, ale

jeszcze bardziej przed zaziębieniem, o które tu, na północy - wschodzie, bardzo łatwo z powodu nagłych skoków temperatury. W tej chwili jednak słońce silnie przypieka i pokrywa nas powłoka pyłu zmieszanego z potem.

Krajobraz jest na wskroś równinny: nad nieprzejrzanymi łanami kaoliangu rozpościera się olbrzymia kopuła niebios. Przed nami wylania się wioska. Wśród pól dostrzegam okrągławe, mniej więcej na metr wysokie kopce, przeważnie porośnięte trawą. Liao objaśnia, że są to groby chłopskie. Na polach przed wsią pracują chłopi. Na nasz widok zatrzymują się i powiewają charakterystycznymi płaskimi kapeluszami ze słomy. U wejścia do wioski oczekują nas wszyscy mieszkańcy z barwnymi jedwabnymi chorągiewkami. Gromada dziewcząt tańczy jangko, chłopcy cisną się do samochodów, ukazują w uśmiechu śnieżnobiałe zęby i proszą o autografy w notesikach i kalendarzykach, które wyciągają z kieszeni. Z bram domów wyglądają ostrożnie starzy chłopi. Wyczuwam bezwiednie, że to są dawne Chiny. Na twarzach starców dziesiątki lat cierpienia wryły głębokie bruzdy. Plecy przygięte ciężką pracą sprawiają, że rzucane na nas spojrzenia padają spode łba i mimo że usta otwarte są z radosnego zdumienia, spojrzenia nabierają wyraz nieufności. Jakież kontrast z pełną życia i radości młodzieżą, kręcącą się dokoła naszych wozów, z dumnymi i zgrabnymi mężczyznami, którzy uśmiechają się do nas, wsparci o swe narzędzia pracy, i ze zdrowymi silnymi matkami, pokazującymi swoim maleństwu czarną głowę Moumouniego.

Wieś pozostała już daleko poza nami, a żałosny obraz starców wciąż zaprzęta moje myśli. Jak potwornie musiał dawny system uciskać, udręczać i wyzyskiwać człowieka, by uczynić z niego taki łachman ludzki o zapadłej ziemistej twarzy!

Wśród pól znów widnieją grobowce. I one są brunatne jak ziemia. Nagle przychodzi mi na myśl werset biblijny „Z prochu powstałeś i w proch się obrócisz”. Te słowa przez tysiące lat ciążyły jak klątwa na chińskim chłopie. Przychodził na świat w nędznej lepiance z brunatnej gliny. Skąpe płody ziemi, których nie odebrała mu burza, powódź lub obszarnek, utrzymywały przy życiu jego wychudłe, utrudzone ciało. Po śmierci powracał do tej świętej ziemi, która w żyjącym budziła uczucia miłości i lęku zarazem...

Liao odpowiada rzeczowo na moje smętne rozważania. Zwyczaj grzebania zmarłych wśród pól jest uciążliwym dziedzictwem przeszłości. Po pierwsze — na skutek tego zmniejsza się powierzchnia uprawna pól. Po wtóre — groby są płytkie i dostępne dla zwierząt, a więc niehigieniczne. Dlatego też nowe Chiny pozostawiają w spokoju tradycyjne miejsca spoczynku zmarłych, aby nie razić uczuć starego pokolenia, jednocześnie jednak prowadzą energiczną propagandę za tworzeniem normalnych cmentarzy.

Traktory, Łysenko i 100 000 kilowatogodzin

Nagle przecina nam drogę rzeka Non, dopływ Sungari. Ma około 200 metrów szerokości, a szarżółte jej fale toczą się między urwistymi, gliniastymi brzegami kilkumetrowej wysokości. Na gliniastej skarpie zaznaczają się wyraźne ślady zmiennego poziomu rzeki. Woda płynie szybko, małe fale rozpryskują się o brzeg. Odnoszę wrażenie, że rzeka ta jest podstępna, że kryje w swym nurcie zasadzki. Prawdopodobnie jest ona zgoła nieszkodliwa i tylko moja fantazja przypisuje pierwszej napotkanej chińskiej rzece wszystko, co kiedykolwiek zasłyszałem o wielkich powodziach w tym kraju. U brzegów głęboko wciętej w gliniaste podłoże rzeki kotłyszają się zakotwiczone dżonki [Dżonka — chiński statek żaglowy. W Chinach Czang Kai-szeka dżonki służyły za mieszkanie tysięcznym rzeszom biedoty chińskiej.]. Po rozpostartym nad bezkresną równiną lessową niebie płyną strzępiaste obłoki. Nadaje to krajobrazowi jakiś wybitnie swoisty charakter. Znów uświadamiam sobie zupełnie jasno, że jestem w Chinach. Nasze auta wjeżdżają ostrożnie na wielkie promy. Po chwili tuzin silnych chłopaków odpycha promy od brzegu długimi drągami bambusowymi — i tak przepławiamy się przez Non.

Wkrótce potem stajemy u kresu podróży — w majątku państwowym Czar - Hajang. Szachownica małych działek chłopskich ustępuje miejsca olbrzymim kompleksom pól. Dwa traktory suną wzdłuż drogi. Z jednego dziewczęta ślą nam pozdrowienia. Wyłaniają się długie jaskrawobiałe budynki. Wozy zatrzymują się przed uwieńczoną kwiatami bramą. Opada zwolna tuman nieodłącznie nam towarzyszącego pyłu i dostrzegamy otaczających nas pracowników majątku. Najbliżej stoi cała kompania odzianych w śnieżnobiałe kombinezony chłopców i młodych dziewcząt. To traktorzyści (postacie typowe dla uspołecznionej gospodarki rolnej) skandują chórem pod batutą energicznej dziewczyny hasła powitalne. Przy „wanzaj” rozlegającym się na końcu każdego okrzyku, z rozmachem wznoszą w górę ręce z zaciśniętymi pięściami. Druga grupa, licząca kilkaset ludzi, to monterzy i robotnicy rolni ubrani w czyste błękitne kombinezony robocze. Małe dziewczątka w białych bluzkach z czerwonymi chustkami pionierskimi przynoszą olbrzymie bukiety kwiatów, podczas gdy orkiestra robotnicza gra Hymn Młodzieży, wprowadzie w trochę niezwykłym rytmie, ale i tak można go rozpoznać.

Przed ładnym, o szerokich oknach, żelbetonowym budynkiem Klubu Robotniczego, udekorowanym flagami wszystkich narodów, wita nas dyrektor majątku, Cza Ta, młody, energiczny robotnik w błękitnej bluzie monterskiej. Prowadzą nas zaraz do stacji traktorowej stanowiącej dumę majątku. W ogromnej hali montażowej dwustu monterów pracuje przy naprawie traktorów przed pracami jesiennymi. Na nasz widok przerywają pracę, pozdrawiają nas entuzjastycznie i z dumą pokazują swoje warsztaty. Przed bramami stoją długie rzędy kombajnów, traktorów i samochodów ciężarowych. Przy jednym z traktorów odbywa się właśnie wykład techniczny. Co najmniej połowa uczniów — to kobiety.

Czao Ta opowiada nam o majątku. Był tu przedtem japoński obóz koncentracyjny, w którym zginęło ponad 50 000 Chińczyków. Majątek obejmuje obecnie około 100 000 mu, czyli 6 250 hektarów ziemi (hektar — 16 mu). Z tego 4 000 hektarów nawodniono pod uprawę ryżu, na pozostałym obszarze uprawia się zboże i kultury roślin przemysłowych. Dwa lata istnienia majątku dały już imponujące wyniki. Dawniej przeciętny zbiór ryżu wynosił dwie tony z hektara. W bieżącym roku dzięki wykorzystaniu doświadczeń radzieckich uzyskano przeszło 3 tony z hektara. Na małym polu doświadczalnym osiągnięto nawet — przy zastosowaniu teorii Łysenki — zbiór 10 ton. W ciągu najbliższych trzech — czterech lat majątek będzie planowo rozbudowany i obejmie w końcu 200 000 hektarów gruntów, dotąd przeważnie leżących odłogiem. To wymaga urządzeń, które zaopatrywałyby pola w wystarczającą ilość wody. Zostanie wybudowany system kanałów czterdziestokilometrowej długości. Wiąże się z tym regulacja rzeki i budowa elektrowni wodnej, która da majątkowi 100 000 kilowatogodzin rocznie.

Zwiedzamy park traktorowy. Majątek posiada 66 traktorów najnowszej konstrukcji, stanowiących dar fabryk radzieckich dla prowincji Heilungkiang. Prócz nich pokazują nam 20 amerykańskich traktorów marki Massey-Harris, które również stanowią dar, oczywiście nie dla nowych Chin Ludowych, lecz dla Czang Kai-szeka, któremu służyły za ciągniki lekkiej artylerii. Obecnie ciągną pług. Oczywiście ta nowoczesna „fabryka zboża” stanowi na razie dość rzadkie jeszcze zjawisko w chińskiej gospodarce rolnej. W Chinach stworzono dotychczas tylko 14 ośrodków rolnych tego typu. Zaniedbane przez dawny system rolnictwo jest tak zacofane, że mechanizacja wsi wymagać będzie jeszcze ogromnego wysiłku. Poza tym muszą Chiny rozbudować własny przemysł traktorowy, który by umożliwił zaopatrzenie setek tysięcy wsi w nowoczesne maszyny rolnicze. Na razie zaś wszystkie traktory będą zgromadzone w wielkich majątkach państwowych.

W rozległych, nowiuteńkich budynkach mieszka 2300 stałych pracowników majątku wraz z rodzinami. Pomieszczenia mieszkalne są obszerne, widne, czyste i urządzone ze smakiem. Szczególnie miłe wrażenie wywierają sypialnie i świetlice w budynku samotnych mężczyzn. Przewodniczący rządu Ju Ji-fu administrujący tą prowincją o 5 i pół miliona mieszkańców przechodzi wraz z nami przez pokoje. Ma na sobie podobnie jak niemal wszyscy tutejsi funkcjonariusze, skromne, granatowe ubranie mundurowego kroju. Robotnicy traktują go jak dobrego znajomego i rozmawiają z nim całkiem swobodnie.

Przed kolacją zapraszają nas do nowocześnie urządzonych umywalni. Szybko oswajamy się z chińskim obyczajem nakazującym zanurzać w wodzie małe, o barwnych wzorach, włochate ręczniki i poślugiwać się nimi jak rękawicami do mycia. Później płucze się je w czystej wodzie, wyżyma i wyciera nimi ciało. Głębszy sens tego sposobu mycia polega na tym, że opuszczając umywalnię z wilgotną skórą czujemy się znacznie odświeżeni pomimo przytłaczającej duszności letniego wieczoru.

Sekretarz Nowej Demokratycznej Ligi Młodzieży informuje nas w sali jadalnej o życiu organizacji młodzieżowej.

Liga Młodzieży liczy obecnie 185 członków. Z ich szeregów w ciągu dwóch lat wyszło 42 kandydatów do Partii Komunistycznej. Liga Młodzieży jest ważnym czynnikiem w życiu gospodarstwa. Z jej inicjatywy pracownicy dokładali starań, aby maszyny funkcjonowały nienagannie, a w czasie żniw zorganizowali współzawodnictwa między poszczególnymi brygadami. Jeden z przodowników, z którego Liga jest szczególnie dumna, zorał w ciągu jednego dnia radzieckim traktorem 88 hektarów. Grupa młodzieżowa majątku otrzymała czerwony sztandar rządu prowincjonalnego w dowód uznania za świetne wyniki pracy. 140 członków Ligi Młodzieży uczęszcza na zorganizowane przez Partię Komunistyczną wieczorne "kursy techniczne i ogólnokształcące. Młode traktorzystki podjęły akcję zbierania podpisów pod Apelem Sztokholmskim, która zakończyła się podpisaniem go przez wszystkich pracowników majątku.

Sekretarz Ligi mówi pewnie i swobodnie. Jego inteligentna twarz jest pełna emocji. Również młodzi chłopcy i dziewczęta przy naszych stołach zachowują się z dużą pewnością siebie, a jednocześnie odnoszą się do nas z wyszukaną grzecznością i młodzieńczą przyjaźnią. Z tak energicznymi, uświadomionymi i zapalonymi do pracy ludźmi można dokonywać cudów!

Zgniłe jaja, płetwy rekina i jaskólcze gniazda

Rozpoczyna się uczta. Odświeżają się w pamięci zasłyszane niegdyś opowiadania o osobliwościach chińskiej kuchni. Trochę to odbiera apetyt, jednocześnie jednak pobudza ciekawość. Na stole pojawiają się słynne zgniłe jaja. Prawdę mówiąc przechodzi mnie początkowo niemiły dreszczyk, a i jedna dziewczyna z grupy radzieckich pionierów, Iljina Tundse, czuje się również niewyraźnie. Aby pokonać niechęć do tej egzotycznej potrawy, prosimy o objaśnienie, jak się ją przyrządza. Jest to bardzo prosta sprawa. Bierze się świeże jajka, zanurza je na kilka godzin w specjalnej przyprawie sojowej, następnie oblepia grubą na centymetr warstwą gliny i praży przez kilka miesięcy na słońcu! Teraz leżą przed nami na półmisku, pokrajane na plasterki. Wyglądają, jakby były z galarety, koloru gliny, w którą włożono ciemnozielone żółtka. Przedstawienie „sposobu produkcji” raczej nam ujęło, niż dodało apetytu. Zważywszy jednak, że jestem w Chinach po raz pierwszy oraz że miliony Chińczyków spożywa takie jajka nie ponosząc szkody na ciele i umyśle — decyduję się ponieść heroiczną ofiarę w imię wzbogacenia wiedzy. Chyba z tuzin razy — ku radości naszych chińskich gospodarzy — jajko ześlizguje mi się z pałeczek, którymi rozpaczliwie manipuluję. W końcu udaje mi się. Wynik jest potwierdzeniem starego przysłowia „Nie wierz gębie, póki nie położysz na zębie”. Ciemnobrunatne jajko smakuje... jak jajko, może tylko ma intensywniejszy posmak od zwyczajnych jajek na twardo. Nie odznacza się ani

przykrą wonią, ani odstręczającym smakiem. Nabieram odwagi i po kolei próbuję każdej z licznych potraw pojawiających się na stole. Przede wszystkim — jakiś płyn przypominający smakiem rosół z wołowiny, w którym pływa coś podobnego do nitek z przezrzystego nylonu. Jestem dumny jak paw, gdy Liau objaśnia mi, że dopiero co jadłem słynną zupę z jaskółczych gniazd. Trepangi (szkarłupnie) w pikantnym sosie cebulowym smakują wyśmienicie. Z kolei coś znanego: wysoka góra smażonych serc i wątróbek kurzych. Przy następnej potrawie — ragout z ryb — zaczynam zwolna pojmować, dlaczego chińscy przyjaciele biorą maleńką porcyjkę z każdego półmiska i przez grzeczność nie widzą nakładanych przez nas na talerze wielkich porcji: kolacja składa się z 21 dań.

Po ragout następują ostre pikle, po nich słodkie, pieczone jabłka, podane do knedli drożdżowych („chiński chleb”) nadziewanych prażoną soją, która smakuje jak orzechy. Wnoszą smażone kraby i szczególnie wykwintny przysmak: duszone pędy bambusów, przypominające wyglądem brukiew, a smakiem szparagi. Teraz znów podają leguminę z ryżu przybraną śliwkami i pestkami. Po niej jedne za drugimi: duszony rdzeń trzciny, kompot z wiśni i pączki lotosu. Pieczone kurczęta wabiące nadzianiem ustępują miejsca ogromnemu karpiovi. Kawałki gęsi na zimno stanowią przejście do wołowiny w sosie cebulowym. Następną potrawą to małe płatki szynki, które kładzie się na dłoni, smaruje ostrym brunatnym sosem, nakrywa kawałkiem tłustej kaczej skórki i ozdabia zielonym szczypiorkiem. Całość składa się przed jedzeniem jak kopertę. Zakończenie uczytu stanowi zwykle miseczka ryżu posypanego cukrem. O mało co byłbym zapomniał o dużym półmisku jak gdyby galaretowatych podrobów — to płetwy rekina. Nasi gospodarze biorą się z zapałem do tego rzadkiego i kosztownego smakołyka. My uprawiamy mikroskopową anatomię.

Kiedy usiłuję zebrać wrażenia z pierwszej chińskiej uczytu, nasuwa się nieoczekiwane porównanie z muzyką. Kuchnię wiedeńską można porównać do znanej nam dobrze skali tonów obejmującej osiem interwali, kuchnię chińską — do skali dwunastotonowej, bogatszej w odcienie, ale brzmiącej obco dla naszego ucha.

Gościom podano do picia piwo, portwejn i mocne, podobne do wódki wino ryżowe. Gospodarze okazali się zupełnymi abstynentami: pili tylko pięknie zabarwioną lemoniadę. Nastrój pod koniec przyjęcia stawał się coraz bardziej ożywiony i osiągnął punkt szczytowy, gdy my — „tai-piau” — zaprodukowaliśmy dwie chińskie piosenki, których nauczyliśmy się w ekspresie transsyberyjskim.

Realne marzenia

Ostatnie blaski zorzy różowieją jeszcze nad polami, gdy samochody odwożą nas do pociągu. Dzisiejszy dzień przyniósł nawet wrażeń: dawne i nowe Chiny, prastare groby na polach i

nowoczesne traktory, poorane zmarszczkami twarze starych chłopów, którzy jeszcze niezupełnie pojęli, że nastały nowe czasy, epoka ludzi pracy — i energiczne, odważne twarze młodych pracowników państwowego majątku, którzy wykuwają tę epokę. Liau widocznie odgadła, o czym myślę i mruczy pod płaszczem, którym ją okryłem: „Jeszcze kilka lat, a całe Chiny będą pokryte takimi fabrykami zboża. Nie będziemy wyzyskiwać ludzi, lecz maszyny. Znikną na zawsze klęski powodzi i szarańczy, żniwa będą obfite, starczy chleba dla wszystkich.” Chleba dla wszystkich — studentka Liau wypowiada te słowa bez patosu. Wynikają one z rzeczowego obrachunku i żelaznej woli. A przecież ten prosty program: „Chleb dla wszystkich — nikt nie będzie głodować!” zawiera bardzo wiele: wyzwolenie Chin, drogę półmiliardowego ludu ku jasnej, pewnej przyszłości.

Rzadko kiedy dotychczas odczuwałem tak wyraźnie, że komunizm jest humanizmem XX stulecia.

Mukden – miasto pracy

Nasz pociąg specjalny prowadzi Wang Feng-ming, najślynniejszy maszynista Chin Północno-Wschodnich. Dowiadujemy się o tym z dzienników mukdeńskich, które właśnie czytamy w hallu hotelu rządowego. Gazety na pierwszych stronach w sensacyjnym ujęciu podają wiadomość o naszej delegacji wraz z fotografiami jej członków, tuż obok jest sprawozdanie z akcji podpisywania przez 66 000 mieszkańców Antung protestu przeciw bombardowaniu tego chińskiego miasta przez Amerykanów. Z kolei następują inne wiadomości bieżące: młodociani pracownicy wielkich warsztatów samochodowych postanowili na cześć delegacji Światowej Federacji Młodzieży Demokratycznej naprawiać po 12 wozów dziennie zamiast jak dotychczas po 10. Uczniowie Miejskiej Szkoły Średniej nr 7 zobowiązali się do jeszcze lepszych postępów w nauce, by przez pogłębienie wiedzy lepiej służyć ojczyźnie i światowemu ruchowi pokoju. Ze stalowni Tai-juan donoszą, że miesięczna produkcja przekroczyła już trzykrotnie poziom z czasów okupacji japońskiej. Na następnej stronie widnieje wiadomość, że zniszczone przez kuomintangowskich bandytów tamy na rzece Żółtej są już po większej części odbudowane. Dzięki temu przywrócono pod uprawę ponad milion hektarów zalanych wodą gruntów stwarzając tym samym podstawę bytu dla milionów ludzi.

Nagle delegaci zbiegają się w kącie sali i zaczynają głośno wiwatować. Przybył właśnie delegat młodzieży koreańskiej! Wszyscy otaczają zgrabnego, młodego Koreańczyka w żółtobrunatnym mundurze oficerskim. Amerykanka ściska go i mówi ze łzami w oczach: „Całą drogę od Pragi czekam na spotkanie z Tobą. Pragnę, by Koreańczycy dowiedzieli się, że naród amerykański potępia wojnę Mac Arthura z waszym bohaterskim narodem, walczącym o wolność. Czen Czan-woan (tak nazywa się kapitan Armii Ludowej delegowany

do Chin przez młodzież koreańską) mówi płynnie po chińsku. Nasi tłumacze przekładają: „Ja również nie mogłem się wprost doczekać spotkania z reprezentantami innej Ameryki. Walczymy ze wspólnym nieprzyjacielem, z imperializmem amerykańskim, a nie z narodem amerykańskim!” Następnie Czen zwraca się do Mac Canna, delegata amerykańskiej młodzieży murzyńskiej: „Jestem przekonany, że my obaj wyjątkowo dobrze się rozumiemy. Nasza cała sympatia jest po stronie walki wyzwolenczej ciemnionych Murzynów amerykańskich. W naszej zaś walce uskrzydla nas myśl, że przyczyniamy się do zadania klęski również i waszemu wrogowi”. Delegat młodzieży angielskiej, Francuz Guibert, Włoszka Lidia - wszyscy przekazują Czenowi pozdrowienia od młodzieży swych krajów i zapewniają go o sympatii, jaką wszyscy uczciwi ludzie darzą naród koreański w jego ciężkiej walce.

Losy pewnej prowincji

Czang Hsiu-szan, wiceprezydent rządu ludowego Chin Północno-Wschodnich oraz Ho Czin-nien, członek Komitetu Północno-Wschodniego Komunistycznej Partii Chin, zapoznają delegację z sytuacją w prowincji.

„Powierzchnia Chin Północno-Wschodnich wynosi około 900 000 kilometrów kwadratowych, a zaludnienie ponad 41 milionów mieszkańców. Jest to najbardziej uprzemysłowiona prowincja Chin, w której również gospodarka rolna stoi na wysokim poziomie. Japończycy napadli i zajęli te obszary w 1931 r. posługując się dawniej zagarniętą Koreą jako bazą wypadową. Nadali im nazwę „Man-dżukuo” i narzucili rząd marionetkowy, na którego czele postawili potomka cesarza dynastii mandżurskiej. Północno-Wschodnie Chiny służyły im z kolei za odskocznię do militarnego opanowania całych Chin. Okupanci okrutnie uciskali lud chiński, zwłaszcza zaś robotników i chłopów, których ciągle wywożono na roboty przymusowe. Rozwinął się tu silny nielegalny ruch oporu pod kierownictwem Komunistycznej Partii Chin. W 1945 r. Armia Radziecka pobiła japońskie wojska okupacyjne i wyzwoliła kraj. Rozwinął się tam silny ruch demokratyczny, ogłoszono rząd ludowy i zorganizowano armię ludową.

Jednakże imperialiści amerykańscy udzielili pomocy wrogowi ludu, Czang Kai-szekowi, transportując drogą morską i powietrzną setki tysięcy jego żołnierzy na Północny Wschód. W kwietniu 1947 r. Czang wtargnął do Mandżurii. Partia Komunistyczna zorganizowała powstanie ludowe przeciw faszystowskiemu systemowi rządów kuomintangowskich, znienawidzonych przez naród za kontynuowanie japońskich metod ucisku. Walka wyzwolencza zakończyła się całkowitym zwycięstwem oddziałów ludowych. Wojska Czanga straciły w Chinach Północno-Wschodnich 1 230 000 ludzi.

W tej jednej części Chin wstąpiło ochotniczo do Armii Ludowej 1 600 000 robotników i chłopów, a z górą 3 miliony pracowały dla frontu na jego zapleczu. Wsie dostarczyły Armii Ludowej blisko 300 000 kulisów, ponad 300 000 wozów i 900 000 koni. Te proste wozy chłopskie, które zaopatrywały Armię Ludową w żywność i sprzęt wojenny, odniosły zwycięstwo nad nowoczesnym amerykańskim parkiem samochodowym, którym dysponował Czang. Nawiasem mówiąc, jego ciężarówki znajdują się dziś w rękach władz ludowych.

Po wyzwoleniu przeprowadzono reformę rolną. Blisko 30 milionów chłopów otrzymało ziemię. Dzięki ternu feudalizm na Północnym Wschodzie został zupełnie zlikwidowany. W północnej części prowincji przydział ziemi wyniósł około pół hektara na głowę, w południowej, gdzie było mniej gruntów do rozdziału — tylko ćwierć hektara. Należy mieć na uwadze, że w Chinach, gdzie gospodarka rolna jest nadzwyczaj intensywna, rodzina może się wyżywić ze znacznie mniejszej działki uprawnej aniżeli w Europie.

Znaczna część rodzin chłopskich otrzymała ponadto w przydziale konia lub wołu, oczywiście bezpłatnie — tak samo jak ziemię. Reforma rolna dokonała głębokiej przemiany w stosunkach na wsi. Wydajność pracy chłopów obdzielonych ziemią wzrosła ogromnie. Dzięki temu już w bieżącym roku zbiory były bardzo dobre: o 3 miliony ton większe niż w ubiegłym. Chłopów zwolniono od czynszów dzierżawnych oraz dostaw przymusowych, które za czasów japońskich wynosiły ponad 8 milionów ton zboża oraz obniżono im wygórowane dawniej podatki. Dzięki tej polityce siła nabywcza chłopów wzrosła w ubiegłym roku o 50 do 100%. Wieś kupuje teraz więcej produktów przemysłowych i w lepszym gatunku, co znów sianowi potężny bodziec dla przemysłu.

Podobnie ma się rzecz z rozwojem przemysłu. Chiny Północno-Wschodnie są nowocześnie uprzemysłowionym krajem. Wycofujące się wojska Kuomintangu obróciły w gruzy olbrzymią liczbę fabryk. Tylko w niektórych zakładach udało się robotnikom zorganizować samoobronę i zapobiec zniszczeniu. Na początku 1949 r. ani jedna z większych fabryk nie była czynna. Do kwietnia uruchomiono już 191 zakładów przemysłowych (bierzemy pod uwagę tylko wielkie jednostki). We wrześniu 1949 r. czynne były 243 fabryki, a w grudniu już 307. W drugim półroczu 1949 r. zatrudniano w nowouruchomionych fabrykach Północnego Wschodu prawie pół miliona robotników. Klasa robotnicza stała się przodującą siłą w kraju. Robotnicy i chłopci piastują w naszej prowincji najwyższe urzędy, zarządzają wsiami i fabrykami.

Rozwojowi gospodarczemu towarzyszy rozkwit życia kulturalnego. W tej chwili 500 000 młodzieży północno-wschodniej odbywa studia średnie i uniwersyteckie. Wychodzą już 44 dzienniki i 243 czasopisma. W ubiegłym półroczu wydrukowano 14 milionów podręczników szkolnych i 4,8 miliona innych książek."

Barbarzyństwo przeciw kulturze

Obaj wysocy urzędnicy, jeden z dobrotliwym obliczem uczonego, drugi o ostrych, zdecydowanych rysach twarzy, informowali nas rzeczowo i bez patosu. A jednak przytaczane przez nich długie kolumny cyfr składały się na plastyczny obraz rozmachu, z jakim najbogatsza prowincja Chin powstaje do nowego życia po zniszczeniach wojennych. Kryjącą się za tymi cyframi rzeczywistość ujrzeliśmy ze szczególną wyrazistością w ogromnym ośrodku przemysłowym — Mukdenie. Przez 3 dni zwiedzaliśmy fabryki i zakłady przemysłowe, uniwersytety i szkoły średnie, kina i teatry. Mukden, podobnie jak poprzednio Praga i Moskwa, prawem kontrastu przywiódł mi przed oczy obraz Wiednia — zamartwego miasta!

Przypomniała mi się wówczas wypowiedź mego indyjskiego przyjaciela. Na zapytanie, jak mu się podoba w Wiedniu, odpowiedział: „Wspaniała architektura”. „A ludzie?” — nalegałem. „Robią wrażenie tetryków i zaraz po pracy chowają się w domach”. Zupełnie inaczej jest w Mukdenie. Nie ma tu wprawdzie tylu reprezentacyjnych zabytków architektonicznych jak w Wiedniu, a użytkowe budowle z okresu japońskiej okupacji nadają miastu podobne piętno, jak brzydkie koszary czynszowe robotniczym okręgom Wiednia. Ale ludzie są inni. Wystarczy przyjrzeć się przechodniom, by stwierdzić, że z ufnością spoglądają w przyszłość. Wieczorem przez ulice, sklepy i lokale przepływają nieprzebrane tłumy.

To wrażenie potwierdza się, gdy zapytać mukdeńczyka o jego życie. Zawsze słyszy się w odpowiedzi porównanie pomiędzy stosunkami za okupacji japońskiej i rządów Kuomintangu a o ileż piękniejszym życiem w obecnej republice ludowej. Jedna tylko troska nęka mieszkańców Chin Północno-Wschodnich. Chodząc po ulicach miast zauważyłem wiele okien ozdobionych obrazkami i znakami chińskiego pisma. Na szybach były naklejone paski papieru ułożone w kształt pięknych ornamentów i symboli. Niewiele tylko okien obywało się bez tego osobliwego przybrania. Czeng Czung-jen, student szanghajski, towarzyszący mnie i delegatom NRD, poprosił przechodnia o wyjaśnienie. Otrzymaliśmy następującą odpowiedź: „Papierowe wstęgi nie służą do ozdoby, lecz do ochrony okien. Kilkaset kilometrów stąd Amerykanie bombardują spokojne miasta koreańskie, a dopiero co dokonali nalotu nawet na chińskie miasto Antung, odległe o 150 kilometrów. Szkło jest u nas jeszcze cennym materiałem i dlatego przez zaklejenie okien papierem zabezpieczamy się przed chuligaństwem przedstawicieli amerykańskiego stylu życia.” „Pięknie, ale dlaczego układa się paski przy naklejaniu w tak czarujące wzory?” — „My Chińczycy lubimy łączyć pożyteczne z pięknem”.

Jakże to wymowne. Przecież owe poklejane szyby miasta Chin Północno-Wschodnich odzwierciedlają najbardziej charakterystyczne zjawisko współczesnego świata.

Amerykańscy piraci powietrzni wyładowują swą żądzę zniszczenia na narodzie reprezentującym najstarszą na świecie kulturę, „obrońcy kultury zachodniej” obracają w gruzy sztukę ludową Wschodu, barbarzyństwo zagraża kulturze.

Historia bohatera pracy Czaa Go-ju

Przy wejściu do pierwszej wielkiej hali Fabryki Maszyn nr 5 w Mukdenie wita nas burzliwą owacją. Robotnicy spieszą ku nam ze wszystkich stron, wręczają kwiaty, ściskają dłonie. Przechodzimy obok długiego rzędu obrabiarek. Pierwsza partia obrabiarek nosi amerykańskie znaki firmowe. „To Ameryka dostarcza wam maszyn?” — pytamy ze zdumieniem. „Owszem, ale za pośrednictwem firmy Czang Kai-szek!” — pada odpowiedź wśród gromkiego śmiechu. Następna seria nowiuteńkich maszyn jest już innego pochodzenia. Napisy na tabliczkach głoszą „Fabryka Czerwony Proletariusz — Moskwa 1949 r.” Robotnicy wskazują na nie z jaśniejącymi radością twarzami: „Te maszyny przysłał nam nasz starszy brat” (tłumacz wyjaśnia, że wyrażenie „starszy brat” służy w Chinach do zaakcentowania szczególnej miłości i szacunku). Następnie prowadzą nas z dumą przed inną grupę nowych maszyn — to produkcja własna z 1950 r. Za czasów okupacji japońskiej i rządów Kuomintangu nie i można było nawet marzyć o tym, by mukdeńska fabryka podjęła produkcję maszyn tego typu.

Spostrzegamy, że na niektórych obrabiarkach powiewała barwne chorągiewki jedwabne. Chińscy towarzysze starają się pokazać nam wszystko, co chcemy zobaczyć, zaopatrują nas we wszelkiego rodzaju materiał statystyczny i pomagają nawiązać rozmowę, z kim tylko sobie życzymy. Korzystając z tego zwracamy się do robotnika obsługującego najbliższą obrabiarkę z chorągiewką. Jest to młody mężczyzna o subtelnych rysach miło uśmiechniętej twarzy i niezwykle inteligentnych i pociągających oczach. Nazywa się Czaa Go-ju i jest najlepszym robotnikiem w fabryce. Na nasze pytania odpowiada po krótkim namyśle płynnie i dokładnie. Oto historia jego życia, uzupełniona przez otaczających robotników. Historia młodego robotnika chińskiego, którą nieraz jeszcze mieliśmy usłyszeć w najrozmaitszych odmianach. Odzwierciedla się w niej przeszłość i przyszłość chińskiej klasy robotniczej.

„Mam lat dwadzieścia siedem, a w tej fabryce pracuję dwanaście. Młodość i okres praktyki upłynęły mi tu w bardzo trudnych warunkach. Z największą niechęcią wspominam te lata. Był to okres japońskiej okupacji Chin Północno-Wschodnich. Japończycy zabrali starszego brata do robót przymusowych. Zapędzono go wraz z tysiącami innych młodych Chińczyków do budowy linii kolejowej na północy. Byli tam zamknięci w obozie ogrodzonym drutem kolczastym, przez który przepływał prąd elektryczny. W obozie panował głód i szerzyły się ciężkie choroby. Mimo że brat mój był chory, pędzono go batami do roboty. Po wybuchu

epidemii w obozie Japończycy uznali zakaźnie chorych za sabotażystów, oblali ich benzyną i spalili dla postrachu na oczach innych więźniów. Robotnicy w obozie uświadomili sobie, że lepiej zaryzykować życie w ucieczce i walce aniżeli zdechnąć w obozie. Podjęli próbę masowej ucieczki. Połowę uciekinierów schwytano i rozstrzelano na miejscu. Większość pozostałych odnalazły psy gończe; tych również rozstrzelano, a wśród nich mego brata. Nielicznym tylko powiodło się dotrzeć do Armii Wyzwoleńczej. Mógłbym wam jeszcze opowiedzieć o wielu tego rodzaju wydarzeniach, a koledzy mogą potwierdzić, że nie przesadzam.

W 1945 r. Armia Czerwona wyzwoliła nas spod okupacji japońskiej. Wszyscy mieszkańcy naszego miasta byli szczęśliwi. Ale wkrótce samoloty amerykańskie przewiozły do naszej prowincji wojska Czang Kai-szeka. Kuomintangowcy uciskali nas stosując te same metody, co Japończycy, a nawet przewyższali ich okrucieństwem. Nic więc dziwnego, że naród nasz odnosił się do nich z równą nienawiścią jak przedtem do okupantów japońskich. Trzy lata rządów Kuomintangu były dla nas w dalszym ciągu okresem nędzy i niewolnictwa. Byłem wówczas robotnikiem wykwalifikowanym i mimo to otrzymywałem dla siebie i dla rodziny zaledwie 70 katty (około 35 kg) kaoliangu miesięcznego wynagrodzenia. W mieście szalały epidemie. Mój czteroletni synek zmarł wtedy z głodu".

Przy ostatnich słowach rysy twarzy Czaa stężały, a dłonie zacisnęły się kurczowo dokoła ciężkiego klucza francuskiego. Potem zwolna oczy jego rozjaśniły się i podjął dalszy ciąg opowiadania.

„W listopadzie 1948 r. Armia Ludowa wyzwoliła Mukden. Wówczas reakcja kuomintangowska zaczęła bombardować z powietrza nasze zakłady, których nie zdołała zniszczyć przy pospiesznym odwrocie. Wycierpieliśmy dużo od nalotów, zginęło wielu ludzi. Nieprędko zapomnimy, że bomby padały z amerykańskich samolotów. Na szczęście wkrótce naloty się skończyły dzięki szybkim postępom ofensywy Armii Ludowej. W naszym mieście zapanował surowy, ale sprawiedliwy ład. My, robotnicy, staliśmy się panami naszej fabryki. Oczywiście nie od razu pojęliśmy doniosłość tej przemiany, ponieważ brakowało nam uświadomienia politycznego. Wielu robotników rozumowało w ten sposób: „Ktokolwiek dochodził do rządów — nam zawsze jednakowo źle się działo; poczekajmy, co też nowy system nam przyniesie". Powolne tempo pracy, bierny opór, brak troski o jakość, marnotrawstwo materiału były dotychczas skuteczną bronią w walce z Japończykami i Kuomintangiem. Teraz zaś taki stosunek do pracy stanowił poważną przeszkodę w dziele odbudowy kraju.

Nowy stosunek do pracy

W miesiąc po wyzwoleniu otwarto przy naszej fabryce szkołę, do której zacząłem z zapałem uczęszczać. Od dawna już usilnie pragnąłem zdobyć wykształcenie, ale za rządów japońskich i kuomintangowskich było to marzeniem ściętej głowy. Teraz nauczyłem się całej masy znaków. Wkrótce umiałem już czytać, a tym samym patrzeć na świat zupełnie innymi oczyma. Rozwinęła się moja świadomość klasowa, wzrosła nienawiść do imperializmu. Chciałem koniecznie zaciągnąć się do Armii Ludowej, by pomścić śmierć brata i synka. Jednakże towarzysze z Komitetu Zakładowego nie zgodzili się na to oświadczając, że praca dla odbudowy kraju jest konieczna i równoznaczna z walką na froncie. Po początkowym oporze zrozumiałem słuszność ich stanowiska i zacząłem inaczej traktować pracę w fabryce. Pojąłem, że wykonane przeze mnie części maszyn nie służą teraz imperializmowi, lecz przyczyniają się do zwycięstwa Armii Ludowej i do odbudowy kraju.

Gdy Partia Komunistyczna wezwała do uczczenia święta majowego wzmożoną wydajnością pracy, podjąłem jej apel. Na podstawie osiągniętych wyników koledzy ogłosili mnie wówczas bohaterem pracy. W sierpniu wziąłem udział w drugim czynie robotniczym. W tym miesiącu wstąpiłem do Nowej Demokratycznej Ligi Młodzieży, która stawiała wówczas pierwsze kroki na terenie naszej fabryki. Muszę dodać, że na początku kampanii sierpniowej nie miałem wiele zaufania we własne siły. Moja praca polegała na wykonywaniu kół stopniowych do tokarek. Wykonanie takiego koła zajmowało mi 24 godziny, czyli 3 pełne dni robocze. Usłyszałem jednakże, że czas pracy nad takim samym kołem wynosi w innej fabryce 4 godziny. To podnieciło moją ambicję, zacząłem więc przyspieszać tempo pracy. Wkrótce jednak przekonałem się, że samo zwiększenie nakładu pracy prowadzi do nieznacznego tylko skrócenia czasu produkcji i że trzeba pomyśleć o usprawnieniu samego jej przebiegu. Zacząłem zastanawiać się nad procesem produkcyjnym i wkrótce udało mi się obmyślić kilka prostych urządzeń ułatwiających pracę i pozwalających na szybsze jej wykonanie. W końcu spróbowałem pobić rekord czterogodzinny i rzeczywiście udało mi się wykonać koło dobrej jakości w 2 godziny i 20 minut. Była to wielka sensacja dla naszych zakładów. Dyrekcja, złożona ze starych i doświadczonych kolegów — robotników, postawiła mnie za przykład innym pracownikom. Byłem tym niezmiernie zakłopotany. Potem jednak pojawiły się nieoczekiwane trudności. Elementy reakcyjne zaczęły uprawiać w naszej fabryce szeptaną propagandę, obliczoną na niewyrobienie polityczne wielu robotników. Niektórzy z kolegów pod wpływem wrogich podszeptów wystąpili przeciwko mnie z zarzutem braku poczucia solidarności. Twierdzili — niejeden zapewne w dobrej wierze — że wzmożona wydajność pracy prowadzi nieuchronnie do bezrobocia. Nawet żonę przeciw mnie zbuntowali. W tym czasie było mi naprawdę ciężko, obawiałem się, że „stracę twarz”, że koledzy odsuną się ode mnie. I właśnie wtedy doznałem silnego poparcia ze strony Partii Komunistycznej, która zaopiekowała się mną, pomimo że nie byłem jej członkiem. Poprowadziła w prasie kampanię propagandową w obronie mojej osoby. Dzienniki zamieściły moją podobiznę z pochlebnymi komentarzami. Czy to było możliwe za dawnych

czasów, żeby gazety zajmowały się prostym robotnikiem? Ale również czas pracował dla mnie. Mijały miesiące, a przepowiadane bezrobocie nie nadchodziło. Przeciwnie, w naszych zakładach przyjęto do pracy około 2 000 nowych robotników. Nie straciłem więc „twarzy”.

Po tym krytycznym okresie stosunek większości robotników do pracy szybko zaczął zmieniać się na lepsze. Fakty były dość przekonujące. Już we wrześniu 1949 r. produkcja naszego oddziału przewyższyła o 60% poziom poprzedniego miesiąca. Ruch współzawodnictwa pracy objął wkrótce całą fabrykę, a po niej również i inne zakłady w naszym mieście. Z końcem 1949 r. już 90% kolegów pracowało według nowych metod pracy i nowych norm produkcji. Chciałbym jeszcze jedno nadmienić: nie osiągnęlibyśmy takich sukcesów bez dobrych nowoczesnych maszyn ze Związku Radzieckiego i bez braterskiej pomocy rzeczoznawców radzieckich, którzy służyli nam radą i czynem. Ta okoliczność otworzyła oczy wielu robotnikom. Zaczęli porównywać to przyjazne poparcie z „pomocą”, jaką imperialiści amerykańscy wysyłali do naszego kraju w postaci bomb i misji wojskowych.

Przypadł mi w końcu w udziale wyjątkowy zaszczyt. Na podstawie wyników pracy przyjęto mnie do Komunistycznej Partii Chin, której zawdzięczamy uwolnienie naszego kraju od zagranicznej i rodzimej reakcji. To właściwie wszystko. Znadto się rozgadałem. Przecież w gruncie rzeczy nie dokonałem nic nadzwyczajnego. Spełniłem tylko swój obowiązek.”

Kochamy pokój!

„Zapomniałeś powiedzieć — wykrzyknął jeden z przysłuchujących się robotników — że wybraliśmy cię delegatem fabryki na Kongres Ludowy. Wybraliśmy cię również do rady miejskiej Mukdenu i do zarządu Związku Zawodowego. Mów bez fałszywej skromności. Jesteśmy z ciebie 11 u hi ni i zadowoleni z twojej pracy.”

Robotnicy zaczęli hucznie oklaskiwać Czaa Go-ju przestępującego w zakłopotaniu z nogi na nogę. Aby przerwać owację, zaczął znowu mówić: „W tym roku spędziłem święto 1 maja w Związku Radzieckim, jako członek delegacji chińskiej. Było to najpiękniejsze moje przeżycie. Nauczyliśmy się tam bardzo dużo. Było tam pięknie. Jestem przekonany, że kraj nasz również wkrótce zaleczy rany wojny. Tylko że właśnie teraz, gdy kroczymy naprzód ku szczęśliwemu życiu, Amerykanie chcą rozpętać nową wojnę. Napadli na Koreę, zajęli bezprawnie chińską wyspę Tajwan. Niechże nie zapominają o jednym: my, robotnicy chińscy, kochamy pokój jak własne życie. Nie zawahaliśmy się jednak podjąć walkę z uciskiem w czasie, gdy droga do lepszej przyszłości była jeszcze bardzo daleka. Dziś, po ciężkich zmaganiach odczuwamy już, że nastaje ta lepsza przyszłość. Dlatego będziemy walczyć jak lwy o własne szczęście i o pokój z każdym, kto ośmieli się nas napaść. Jest nas Chińczyków 475 milionów i jesteśmy dość silni, by skrócić kark każdemu, kto spróbuje wdrzeć się na naszą ziemię. Niech amerykańscy imperialiści pomyślą o losie Czang Kai-

sze, zanim rozpętają bandycką awanturę. Słyszeliśmy, że jest wśród was delegat i delegatka postępowej młodzieży amerykańskiej. Chciałbym ich powitać w imieniu kolegów jako naszych przyjaciół i zapewnić, że śledzimy z największą sympatią ich ciężką walkę z wspólnym wrogiem, imperializmem amerykańskim.

Tak, ale już dosyć długo zajmowałem wam czas historią mego życia. Proszę, powiedzcie waszej młodzieży po powrocie do swoich krajów, że my, robotnicy chińscy, pragniemy z nią żyć w pokoju i przyjaźni. Powiedzcie, że dziękujemy jej z całego serca za wielką pomoc, jakiej udzielała nam w ciężkich czasach. Powiedzcie, że nowe, wyzwolone Chiny są wielkim i silnym krajem, który stoi u jej boku jako wierny przyjaciel w walce o pokój!"

Wśród rzęsytych oklasków setek rąk rozległ się turkot obrabiarki, którą Czo Go-ju znów uruchomił. Udekorowaliśmy ją kwiatami, które nam poprzednio ofiarowano.

Najcenniejszym kapitałem jest człowiek

Po imponującej masowce (wzięło w niej udział ponad 50 000 młodzieży) przed nowoczesnym gmachem dworca w Dalnij jedziemy ulicami tego siostrzanego miasta Portu Artura. Dalnij (zwany za czasów japońskich Dairen) jest najbardziej nowoczesnym i najczystszy z wszystkich widzianych przez nas dotąd miast chińskich. Szerokie ulice, nowoczesne gmachy, ożywiony ruch, mnóstwo samochodów i tramwajów. Przechodnie uderzająco dobrze odziani. Burmistrz odsłania kulisy tego zjawiska. Dalnij i Port Artura są nie zamarzającymi portami na półwyspie Liao-lung i jednocześnie ośrodkami silnie rozwiniętego przemysłu budowy okrętów, maszynowego i włókienniczego. Japończycy rządili tu 40 lat. Mieszkali w pałacach, podczas gdy Chińczycy gnieździł się w lepiankach w dzielnicach nędzy. Po wyzwoleniu portu Dalnij przez Armię Radziecką utworzył się rząd ludowy, który przeprowadził reformę rolną i upaństwowił własność kapitału monopolistycznego. W przeciwieństwie do innych części Chin, Dalnij nie był po wyzwoleniu zajęty przez Kuomintang, ponieważ, wraz z najbliższym zapleczem i czangczuńską linią kolejową (Mandzuli —Dalnij), pozostawał pod administracją Związku Radzieckiego. Kuomintang musiał poprzestać na blokadzie miast Dalnij i Port Artura. Obfite dostawy Związku Radzieckiego umożliwiły obu miastom pokonanie trudności aprowizacyjnych i opałowych. Obszar ten jest więc najdawniej oswobodzoną częścią Chin, co też zaznacza się we wszystkich dziedzinach życia. Przemysł obu miast portowych przekroczył już bardzo znacznie poziom produkcji z czasów japońskich, a stopa życiowa wzrosła wydatnie.

W samochodzie siedzi przy mnie moja „opiekunka” Sui Tsin-czen, studentka Instytutu Języków Obcych w mieście Dalnij. Sui mówi płynnie po rosyjsku i zamierza zabrać się teraz do nauki angielskiego. Opowiada mi o wspaniałym rozwoju kulturalnym miasta po ustąpieniu Japończyków. Za ich rządów trzecia część mieszkańców nie umiała czytać ani

pisać. Dziś właściwie analfabetów nie ma, a obliczenia statystyczne wykazują, że ludność robotnicza włada przeciętnie 1 200 znakami chińskiego pisma. Liczba szkół podstawowych wzrosła trzykrotnie w ciągu ostatnich czterech lat, liczba uczniów prawie się podwoiła. Założono uniwersytet.

Nowa polityka mieszkaniowa

Przejeżdżamy przez dzielnicę zabudowaną nędznymi drewnianymi chałupami. Nie widać tu wcale ludzi oprócz kilku robotników rozbierających jeden z drewniaków. Dokoła piętrzą się góry śmieci. Sui wyjaśnia, że jest to dzielnica nędzy w Dalnij, hańbiące dziedzictwo gospodarki japońskiej. Obecnie władze miejskie przystąpiły do likwidacji tego siedliska biedoty. Chałupy przeważnie stoją już pustką i podlegają rozbiórce. Zaciekawia mnie oczywiście, dokąd przekwaterowano mieszkańców likwidowanych zaułków. Sui mówi, że zaraz mi pokaże nowe mieszkania robotników portowych, którzy się tu przedtem gnieździłi. Przejeżdżamy wzdłuż składnic portowych i fabryk. W głębi ponad budynkami rysują się sylwety potężnych dźwigów portowych. Samochody zatrzymują się przed pretensjonalnym gmachem, zbudowanym z potężnych bloków wapnia. Wygląda na bank lub też na zakład ubezpieczeń, jest zaś byłą siedzibą sztabu japońskiego. Monumentalne schody marmurowe (nie tyle piękne, ile przytłaczające ogromem) prowadzą do ogromnej sali teatralno-kinowej. Mieści się tu teraz klub robotników portowych. Przechodzimy przez obszerną salę biblioteczną, sale wykładowe, pokoje do gry w szachy i salkę muzyczną. Stoją one w tej chwili pustką, ponieważ przed południem prawie wszyscy dokerzy są przy pracy. Winda unosi nas na pierwsze piętro. Zwiedzamy salę jadalną obliczoną na kilkaset osób. Zarówno w niej jak i w przylegającej nowocześnie wyposażonej kuchni panuje wzorowa czystość. Następne piętra hotelu robotników portowych aż do siódmego mieszczą sypialnie. Również tutaj, w radiofonizowanych i zaopatrzonych w książki pokojach mieszkalnych oraz w wyłożonych kafelkami natryskach łśni wszystko czystością. W tym „domu kawalerów” mieszka 1 500 młodych robotników portowych przesiedlonych z dzielnicy nędzy. Sui zapowiada, że po południu zwiedzimy osiedle składające się z siedmiuset domków jednorodzinnych, wybudowanych w ciągu ostatnich dwóch lat na skraju miasta, a przeznaczonych dla rodzin przekwaterowanych z tej dzielnicy. Napotkana sprzątaczką, czyszczącą odkurzaczem jedną z sypialń, informuje nas o warunkach pobytu w hotelu. Robotnicy mieszkają tu bezpłatnie. Bezpłatnie też korzystają z biblioteki, teatru, kina i nauki. Za posiłki w stołówce płacą tylko około 10% swego wynagrodzenia. Reszta kosztów obciąża po części miasto, po części zakład pracy.

Studentka Sui zwraca uwagę na wielkie znaczenie wychowawcze tego rodzaju domów, których jest kilka. Koszmarne warunki bytu doprowadzały robotników portowych zamieszkałych w dzielnicy nędzy do całkowitego zdziczenia. Tu, w hotelu robotniczym, uczą

się czytać i pisać, uczęszczają do wieczorowych szkół technicznych, by podnieść swoje kwalifikacje zawodowe. Po pracy korzystają z kąpieli, zmieniają odzież. Zapytuję, czy pobyt w hotelach jest dobrowolny i czy istnieje w nich samorząd robotniczy. Sui odpowiada wzburzonym głosem: „Jakie ty masz o nas wyobrażenie? — To jest przecież samo przez się zrozumiałe.” Chcąc ją ułagodzić wyjaśniam, że nie zadałem pytania od siebie, lecz w imieniu takich ludzi z mego kraju, którzy czerpią nieprawdziwe wiadomości o Chinach z gazet amerykańskich i z pewnością będą mi zadawać jeszcze bardziej dziwaczne zapytania. Sui nie może pojąć, że tacy ludzie istnieją.

Tam leży Korea!

W końcu dźwig unosi nas na płaski dach budynku. 41 delegatów wydaje różnorodne okrzyki podziwu: „Ach”, „och”, „wonderfull”; „formidable” i tym podobne: zależnie od narodowości. U naszych stóp rozciąga się morze: Zatoka Koreańska. Na lewo widnieje port Dalnij: urządzenia portowe, mola, latarnia morska, elektrownia. W głębi rysują się nagie wzgórza. Po prawej stronie wzrok napotyka bezkresny, migotliwy błękit wód, przecięty w paru punktach skalistymi rafami, ostro zaznaczonymi na tle zlewającego się z morzem widnokręgu. Jadąc w tamtym kierunku znaleźlibyśmy się w końcu na Pacyfiku. Okazały statek wpływa właśnie do portu, okrążany przez mewy. Za nim ciągnie się długa smuga piany, odbijająca ud szklistego zwierciadła wody. Wydaje mi się, że słyszę jakieś odległe grzmoty. Nie, to chyba tylko gra mojej wyobraźni podnieconej świadomością, że tam, za horyzontem leży Korea, odległa o paręset kilometrów zaledwie. Również Czen Czan-woan, koreański bojownik o wolność, spogląda w tym kierunku wyteżonym wzrokiem. Jego brwi są boleśnie ściągnięte. Przybliży się do mnie i mówi za pośrednictwem tłumacza: „Myślę w tej chwili o mej krwawiącej ojczyźnie. Kraj mój cierpi niewymownie od bestialskich nalotów amerykańskich bombowców. Co my właściwie zawiniliśmy Amerykanom? Co ich obchodzi, w jaki sposób my, Koreańczycy, chcemy rządzić się we własnym kraju? Ameryka jest oddalona od Korei o 8 000 kilometrów, a jednak waży się przy użyciu przemocy decydować o naszych sprawach wewnętrznych”. Opowiadam Czenowi o ruchu protestacyjnym w Austrii przeciw napadowi amerykańskiemu na Koreę. Mówię o akcji policji amerykańskiej w Wiedniu przeciw bojownikom pokoju, którzy malowali na domach i ulicach hasło: „Korea dla Koreańczyków.”

Czen jest głęboko wzruszony moim opowiadaniem. „W ten sposób Amerykanie przyznali, że nie chcą, by Korea należała do Koreańczyków. Z całego świata dochodzą nas wieści, że ludzie ucziwi stoją po stronie narodu koreańskiego i potępiają okrucieństwa dokonywane przez amerykańskich bandytów na naszej ludności cywilnej. Powiedz, proszę, młodzieży austriackiej, że każdego, kto poświęcił noc, by malować na ulicach Wiednia słowa prawdy o

Korei, uważamy za bojownika o wolność naszej ziemi. Dzięki poparciu wszystkich uczciwych i miłujących pokój ludzi na całym świecie mój naród z pewnością obroni swą wolność."

Nauka i wypoczynek

Po południu udajemy się do niedawno otwartej szkoły średniej, w której kształcą się kadry rolnictwa i przemysłu. Studiująca w niej młodzież ma zapewnioną bezpłatną naukę, mieszkanie i utrzymanie. Rozpiętość wieku uczniów jest bardzo znaczna: większość pracowała już w przemyśle lub w gospodarstwach rolnych, a teraz uczy się, aby podnieść swe kwalifikacje zawodowe. Przedstawiają nam z dumą najlepszego ucznia szkoły nazwiskiem Wu Szi-tsau. Liczy dwadzieścia pięć lat, ponieważ zaś od piętnastego roku życia jest robotnikiem fabrycznym, ma więc za sobą dziesięcioletnią praktykę zawodową. W fabryce czekają już na niego. Robotnicy, którzy wybrali go spośród siebie, by odbył studia, liczą na to, że po powrocie ze szkoły będą w nim mieć dzielnego kierownika oddziału. Dyrektor szkoły kładzie nacisk na koleżeński stosunek nauczycieli do uczniów i podkreśla entuzjazm do nauki panujący wśród słuchaczy. Bodźcem do uzyskania najlepszych postępów w nauce jest świadomość klasowa młodzieży pochodzenia robotniczego.

Zabiera głos jeden z nauczycieli. Pochodzi z rodziny mieszczańskiej, uważa jednak za zaszczyt nauczanie dzieci robotników i chłopów, ponieważ w ten sposób przyczynia się do podnoszenia poziomu wykształcenia najszerszych warstw narodu. Zwiedzamy jasny i czysty gmach szkoły. Coraz silniej krystalizuje się w nas wrażenie, że nowe Chiny przybierają również nową szatę zewnętrzną.

Następnie samochody wiozą nas szeroką asfaltową autostradą przez piękne willowe dzielnice Dalnij, wspinają się serpentynami na okalające miasto wzgórza i docierają do zacisznej, oddalonej od gwaru miejskiego zatoki. Naszym celem jest dom wypoczynkowy Towarzystwa Elektrycznego Dalekiego Wschodu. Przy bramie parkowej witają nas lekarze, pielęgniarki i tłum kuracjuszy. Idziemy przez opadający ku morzu piękny park. Tak właśnie zawsze wyobrażałem sobie chiński ogród ozdobny. Soczysta zieleń trawników, małe sztuczne sadzawki, strumyki z kaskadami i grotty, złote rybki w kunsztownych akwariach, małe mosty i pawilony, lampiony i karłowate sosny składają się na ten uroczy raj w miniaturze. W parku stoją wille w tradycyjnym stylu chińskim, połączone ze sobą schodami, balustradami i ukwieconymi tarasami. Wysoki urzędnik japoński, który z krwi i potu chińskich kulisów wycisnął pieniądze na budowę tej posiadłości, najwidoczniej korzystał z usług zdolnego i doświadczonego chińskiego architekta. Dziś ów dygnitarz prawdopodobnie czeka w więzieniu japońskim na rychłe ułaskawienie przez Amerykanów, a jego letnia rezydencja została przeobrażona w dom wypoczynkowy dla robotników.

Zewnętrzny wygląd willi nie zawiódł naszych oczekiwań. Urządzenia wnętrza również są pełne wytrawnego smaku. W sali przyjęć siedzą przy szachach lub nad książkami robotnicy Towarzystwa Elektrycznego w białych lnianych kitlach. W sąsiednim pokoju rozgrywają się właśnie mistrzostwa ping-pongowe, do których zaraz przyłączają się nasi koledzy Tun Szein z Burmy i Ekbatany z Persji. Nawiązujemy rozmowę z grupą robotników. Podkreślają z naciskiem, że w ich życiu zaszły od chwili wyzwolenia niewiarogodne wprost zmiany. Dawniej uciskano ich, wyzyskiwano i upokarzano. W podobnym do tego domu mogliby się znaleźć chyba tylko jako służący. Teraz odczuwają w całej pełni, co znaczy być gospodarzem we własnym kraju. Od początku roku Dom Wypoczynkowy gościł 800 pracowników fizycznych i umysłowych, którzy z reguły wracali do pracy ze znacznym przybytkiem na wadze i zwiększonymi siłami. Wszystko tutaj jest do ich dyspozycji: siatkówka, tenis, motorówki, wycieczki autokarami, teatr, kino, opieka lekarska, nauka itp.

Pieśń o kobiecie-bohaterce

Tłumacze podkreślając ważność i niezwykłość chwili prowadzą nas do pąsowej z zażenowania dziewczyny. Przedstawiamy się. Jest to Cza Kuei-lan, jedna z najbardziej znanych chińskich bohaterek pracy. Słowo „bohater” jest w poczuciu językowym przeciętnego Austriaka terminem nieco wyświechtanym i jednocześnie pompatycznym. W rozkładającym się kapitalistycznym porządku społecznym nie ma miejsca na bohaterskie czyny, a bohaterzy ruchu robotniczego mogą liczyć na uznanie tylko u przedstawicieli własnej klasy. W Chinach jest inaczej. Lud chiński w swojej zamierzchłej, a przede wszystkim niedawnej przeszłości dokonał tak nadzwyczajnych czynów, że tylko niecodzienne słowa mogą je oddać. Jeśli ktoś w Austrii nazwie bohaterem żyjącego wśród nas człowieka, takie określenie wydaje się górnołotnym frazesem. Natomiast w Chinach lud otacza swych bohaterów, jeśli się tak wolno wyrazić, braterską czcią. Ten głęboki szacunek dla bohaterów udziela się nawet osobom obcym.

Tłumacze opowiadają nam „historię dziewczyny-bohaterki”, która śledzi ich gesty inteligentnymi oczami.

Cza była robotnicą w Zakładach Chemicznych w mieście Dalnij. Po upaństwowieniu fabryki zaczęła uczęszczać do szkoły zawodowej. Podobnie jak wielu innych robotników rozumiała, że fabryki są teraz cennym majątkiem narodowym. Gdy raz wybuchł w zakładach pożar, odwaga jej i zmysł organizacyjny przyczyniły się do ugaszenia ognia w zarodku. Rok temu w laboratorium, w którym pracowała, zaczęła się tlić wielka ilość łatwopalnej substancji. Wszyscy rzucili się do gaszenia, lecz mimo wielkich wysiłków ogień wzrastał się coraz bardziej. Płomienie dosięgały już puszek zawierających materiał wybuchowy. Na okrzyk ostrzegawczy jednego z robotników obecni stanęli na chwilę jak wryci, po czym rzucili się do

ucieczki. Cisnący się do drzwi w ogólnej panice zatarasowali je narażając dalej stojących na bezpośrednie skutki wybuchu. Eksplozja byłaby ponadto spowodowała katastrofalne rozszerzenie się pożaru. W chwili największego zamieszania i niebezpieczeństwa wąż dziewczyna poskoczyła ku groźnej puszczy z materiałem wybuchowym, zerwała ją, rzuciła na ziemię i przykryła własnym ciałem. W chwilę później eksplozja wstrząsnęła budynkiem. Mała Czaó leżała nieprzytomna brocząc krwią z rozerwanego ramienia. Uciekający robotnicy powrócili, nastrój paniczny minął, przystąpiono ze zdwojoną energią do tłumienia pożaru. Tym razem wysiłki nie były daremne. Ogień zaczął przygasać. Młodą bohaterkę przeniesiono w bezpieczne miejsce.

Wiść o heroicznym czynie młodej dziewczyny rozniosła się błyskawicznie po całym Chinach. Czaó, która niemal cudem pozostała przy życiu, stała się jedną z najbardziej znanych w Chinach osobistości. Do szpitala w mieście Dalnij napływały tysiące listów i depesz oraz całe wozy kwiatów. Wdzięczni robotnicy, spośród których wielu zawdzięczało życie bohaterskiej dziewczynie, wysyłali dzień w dzień do szpitala delegację z zapytaniem o stan jej zdrowia. Dołączali się do nich pracownicy innych fabryk, tak że tysiące ludzi oblegały szpital. Chiny jak długie i szerokie śledziły z zapartym tchem chorobę Czaó. Najlepsi lekarze miasta pod kierunkiem specjalisty radzieckiego czuwali bez przerwy przy jej łóżu. Niestety, nie udało się uratować lewej ręki, a na twarzy dziewczyny pozostała głęboka blizna. Czaó cierpiała bardzo nad utratą ręki. Jednakże świadomość, że dokonała wielkiego czynu ratując życie bliźnich i majątek narodowy i że za to darzy ją miłością cały naród chiński — pozwoliła jej przetrwać najcięższe chwile. Już w szpitalu zaczęła snuć projekty na przyszłość. Postanowiła pozostać w swej fabryce. Była pewna, że młoda komunistka o męznym sercu i jasnej świadomości znajdzie tam zajęcie, pomimo że będzie musiała zastępować lewą rękę sztywną protezą.

Po powrocie Czaó do zdrowia całe Chiny zapragnęły ujrzeć swą bohaterkę. Jej podróż do Pekinu była prawdziwym pochodem tryumfalnym. W stolicy członkowie rządu przyjęli ją z honorami, jakie oddaje się przybywającym do Chin zwierzchnikom państw obcych. Czaó wyraziła tylko jedno skromne życzenie: poprosiła o autograf przywódcę Partii Komunistycznej Mao Tse-tunga, który jest znanym w całym Chinach poetą oraz subtelnym artystą w kreśleniu skomplikowanych znaków chińskiego pisma. Reporterzy prasowi trzaskali przy tym migawkami aparatów, jakby chodziło o podpisywanie jakiegoś międzynarodowego dokumentu wielkiej wagi.

Mała Czaó Kuei-lan piastuje obecnie odpowiedzialne stanowisko w swojej fabryce. Kształci się nieustannie, by coraz lepiej służyć ojczyźnie. Lud chiński ceni w niej bohaterkę, która tak wiele poświęciła dla uratowania życia bliźnich i mienia narodu. Skromna dziewczyna została wybrana do zgromadzenia ludowego, a na wszystkich oficjalnych uroczystościach zajmuje

miejsce honorowe, które w Chinach Czang Kai-szeka przeznaczone było dla dostojnych gości z „lepszego” towarzystwa.

Oczywiście zapytaliśmy Czaa z wielkim zaciekawieniem, co ją skłoniło do niezwykłego czynu. — „Nie wiem, co wam opowiedzieli o mnie tłumacze” — brzmiała odpowiedź dziewczyny. — „Prawdopodobnie przesadzili jak zwykle. Sądzę, że postąpiłam tak, jakby na moim miejscu uczynił każdy uczciwy człowiek miłujący swój naród i swoich bliźnich. Jestem komunistka i to stanowi dostateczne wyjaśnienie.”

Wieczorem, podczas bankietu wydanego na naszą cześć przez rząd prowincjonalny, Czaa Kuei-lan siedzi przy stole premiera. Gdy wznosimy toast na cześć bohaterów nowych Chin, z miłym i szczerym uśmiechem unosi kielich w stronę naszego stołu. Następnie stawia go z powrotem nie umoczywszy nawet warg w winie, podobnie jak większość obecnych Chińczyków.

Smuga światła z reflektora obejmuje tancerkę w bajecznej staroświeckiej szacie z jedwabiu, która nagle ukazała się na środku ogromnej sali i wykonuje przy wtórze skrzypiec i bębna prastary taniec w powolnym uroczystym rytmie. Spoglądam na Czaa, która śledzi ze znanstwem ruchy tancerki. Oto spotkanie dwóch światów: starych i nowych Chin.

Najpiękniejsze owoce dla ludu

W naszym pociągu specjalnym, podobnie jak i w pierwszorzędnym hotelach, w których zatrzymaliśmy się, podawano nam zawsze po posiłku przepyszne owoce: rumiane jabłka kalifornijskie, soczyste gruszki i słodkie winogrona. Mniemałem — przynajmniej ze skrucą, że są one chyba importowane, przeznaczone specjalnie dla szacownych gości, podczas gdy zwykli śmiertelnicy muszą zadowalać się pośledniejszymi gatunkami. Rzeczywistość sprostowała to przypuszczenie. W jednej z wąskich uliczek Dalnij miałem sposobność zobaczyć drobny handel owocami. Niebo nad uliczką było ledwie widoczne, zakrywały je rozliczne chorągiewki, transparenty i napisy reklamowe. Sklepiarze powystawiali towar na ulicę tarasując koszami chodniki. Wystawione na sprzedaż najróżniejsze rodzaje owoców tworzyły istną orgię kolorów. Wszystkie były w najlepszym gatunku i nie różniły się od tych, które otrzymywaliśmy w hotelach. Doskonałe te gatunki kupowali w dużych ilościach nawet ludzie sądząc z wyglądu niezamożni. Robaczywych czy też niskogatunkowych owoców, praktycznie rzecz biorąc, nie ma na rynkach chińskich. Czang Pen zdumiał się, że uważam to za coś niezwykłego; wyjaśnił mi, że hodowla owoców w Chinach, zwłaszcza zaś na półwyspie Liaotung, już od dawna stoi na bardzo wysokim poziomie. Hoduje się niemal wyłącznie najlepsze gatunki i dokłada starań — nawet nie ze względów handlowych, lecz z zamiłowania — by uzyskać przy zbiorach jak najdorodniejsze owoce.

Oto jesteśmy w „miejscu urodzenia” wielu gatunków przepysznych owoców — w Państwowej Fermie Doświadczalnej Hsiung-Jao. Idziemy szeroką aleją. Po obu stronach ciągną się ogromne sady, a za nimi widnieją rozległe pola. Wszędzie widać pracujących gorliwie ludzi. Jedni malują pnie drzew szarozieloną mazią i opryskują gałęzie i irchą bordoską dla ochrony przed szkodnikami, inni regulują stan wody w kanałach, odczytują wskazania instrumentów w budkach meteorologicznych lub przeprowadzają badania nad owocami i roślinami.

Zatrzymujemy się na działce obsadzonej jabłonią. Gałęzie drzew uginają się pod ciężarem purpurowych jabłek. Niezmordowani fotoreporterzy ustawiają rasową rzymiankę Lidię pod jabłonią i polecają jej zrywać jabłka. Barwmy film, który ma być nakręcany z naszej podróży po Chinach, pokaże między innymi włoską Ewę kosztującą chińskie jabłka. Rozpostarte w cieniu drzew koce zachęcają do wypoczynku, a jeszcze bardziej kuszą rozstawione przy nich kosze z owocami. Delegaci wespół ze sztabem tłumaczy rzucają się na jabłka, gruszki i winogrona. Wdowin z Komsomołu wyciąga z kosza olbrzymią kiść winogron. Z niedowierzaniem ważymy ją w rękach: ma chyba ze trzy i pół kilo. Kilka minut później leży w trawie już tylko ogołocoła kiść.

Fermę tę założono czterdzieści lat temu — informuje delegację kierownik tamtejszego Instytutu Badań nad Roślinami. — Ucierpiała ona bardzo podczas odwrotu wojsk Kuomintangu, które na samej tylko okupowanej przez nie części półwyspu Liaotung wycięły ponad milion szlachetnych jabłoni. Szybkie postępy Armii Ludowej przeszkodziły im w dokończeniu barbarzyńskiego dzieła zniszczenia. Obecnie ferma jest własnością państwa i obejmuje trzykrotnie większy obszar niż dawniej. Na kilkuset hektarach hoduje się dla celów doświadczalnych oraz dla zbioru nasion ponad 100 gatunków jabłoni, 700 — ryżu, 110 różnych odmian bawełny i 157 rodzajów kaoliangu. Od dwóch lat stosuje się tu z wielkimi sukcesami metody słynnych biologów radzieckich. Miczurina i Łysenki.

Z szczególnym zaciekawieniem przechadzamy się po polach bawełnianych i zapoznajemy się ze skomplikowanym systemem nawadniania. Przewodnik wyjaśnia nam, jak przeciwstawnych właściwości wymaga od krzewów bawełnianych gospodarka rolna i przemysł. Na jednym polu hoduje się metodą Miczurina mieszańce wegetatywne. Krzyżuje się mianowicie gatunek o zielonych pączkach z drugim o pączkach niebiesko-brunatnych.

Interesująca jest obserwacja brunatnych cętek występujących w drugim pokoleniu na zielonych pączkach. Zbiór bawełny przeprowadza się stosunkowo późno, około 20 października. Żniwa odbywają się na fermie dwa razy do roku: najpierw dojrzewa pszenica, później ryż.

Proponują nam zwiedzenie pobliskich źródeł leczniczych. We wspaniałym starym parku spotykamy robotników i urzędników rozmaitych przedsiębiorstw, skierowanych tu na

kurację. Grają właśnie w siatkówkę. Tworzymy natychmiast drużynę, która jednak z powodu swego międzynarodowego charakteru nie stanowi dostatecznie zgranego zespołu. Dlatego też gospodarze biją nas bez trudu. W parku stoją także wille i zakłady lecznicze zdrojowiska. Niedawno wytrysło nowe źródło. Wypływa ono na równej ziemi, bucha parą (temperatura wody wynosi 82°) i zatrzuwa powietrze piekielnym odorem siarki.

Ten sam odór unosi się nad basenem pływackim urządzonym w jednym z budynków zdrojowych. Włoch Tutino i Kin Miettinen skaczą do wody. Ja jednak rezygnuję z wypróbowania leczniczych właściwości kąpieli.

Próbuję z Helmutem sfotografować piękny motyw pobliskich pagórków wulkanicznych, jest już jednak za ciemno, by zdjęcie mogło się udać.

Przed bramą „pokoju niebios” w Pekinie

Pociąg nasz mknie wzdłuż wybrzeża ku Pekinowi. Gdzieś tam zatoka głębiej wrzyna się w ląd i przebłyскуje morze. Przeważnie jednak piaszczyste wydmy zasłaniają widok. Osobliwe wrażenie wywiera parowiec, którego masyw przesuwają się nad piaskami wydm, a zwierciadła wody nie widać. Można by go nazwać „okrętem pustyni”.

Na małej stacyjce wita nas kwiatami tłum rozentuzjzmowanych dzieci. Może nasza wrażliwość jest już nieco przytępiona na skutek tylu oszałamiających przyjęć. Może też działa brak snu. Dość, że dopiero wieść, iż jesteśmy w mieście Szanghaikwan, gdzie Wielki Mur dochodzi do morza, wrywa naszą delegację z odrętwienia. Zamieniamy się w stado rozgdakanych kur. Mur jest podobno widoczny z mostu dla pieszych przerzuconego ponad torami. Rzeczywiście od skraju miasta przez pagórki wije się jak smok mur zbudowany z nieciosanych głazów. Zwężając się zmierza ku pobliskim górą, wspina się śmiały zygzakami na ich szczyty i granie i znika za nagim wierzchołkiem podobny do delikatnej jasnej linii. Ta największa budowla świata ciągnie się stąd 2 500 kilometrów przez doliny i góry, równiny i parowy daleko w głąb Chin. Nad jej cyklopowymi głazami unosi się powiew tysięcy.

Pełen powagi nastrój pryska, kiedy ktoś z nas zapytuje, czy komuniści rzeczywiście zamierzają zburzyć Wielki Mur, jak informują gazety zachodnio-europejskie. Chińczycy spoglądają na nas początkowo z wyrazem bezdenne go zdumienia, potem wybucha huragan śmiechu, który i nas w końcu porywa. Mała Liau opanowuje się pierwsza: „Jaki by to miało cel? Nad rozbiórką muru musiałyby przecież pracować lata całe — setki tysięcy ludzi. Nie umiem sobie wyobrazić głupszej bredni”. Przypominam sobie w tej chwili rozmaite austriackie pisma, które również przynosiły wiadomości o rzekomym burzeniu Wielkiego

Muru, nawet z „uzasadnieniem”, że to ułatwi Rosjanom wtargnięcie do Chin. W taki to sposób usiłowano opasać niematerialnym murem chińskim łatwowiernego czytelnika.

Dawniej i dziś

Tientsin, ogromny ośrodek przemysłu włókienniczego, podobny jest do wielkich miast europejskich, a więc zszpecony jaskrawymi reklamami i neonami. Pełne przepychu arterie handlowe graniczą bezpośrednio z ubogimi dzielnicami robotniczymi. Tu i ówdzie widać rozpoczętą już przebudowę miasta przez rząd ludowy.

Idziemy przez hale wielkiej fabryki włókienniczej, w której pracuje ponad 5 000 ludzi. Zbudowali ją Japończycy. Maszyny są nowoczesne, ale ciasno stłoczone i sprawiają ogłuszający hałas. Kapitalizm „musiał” robić oszczędności na przestrzeni i na urządzeniach ochrony pracy. Obecnie planuje się rozszerzenie przedsiębiorstwa biorąc przy tym pod uwagę przede wszystkim warunki sanitarne.

Na nasze powitanie zgromadzili się w nowourządzonej sali klubowej najlepsi robotnicy zakładów, przedstawiciele organizacji młodzieżowej i kilku członków zarządu przedsiębiorstwa. Czterdziestosześcioletni dyrektor, do niedawna jeszcze jeden z maszynistów fabryki, z dumą przedstawia zdobycze osiągnięte po wyzwoleniu.

„Rządy Japończyków i Kuomintangu były dla robotników naszej fabryki okresem ucisku. Ja sam niejednokrotnie odczuwałem go na własnej skórze. W zakładach działała tajna policja, która przeprowadzała rewizje osobiste, a przy przesłuchaniach stosowała tortury, chcąc wykryć organizatorów oporu. Tuż przed wyzwoleniem, które nastąpiło w styczniu 1949 r., utworzyliśmy straż robotniczą, mającą na celu ochronę fabryki przed zniszczeniem przez Kuomintang i przekazanie jej Armii Ludowej w stanie nienaruszonym. Następnego dnia po wyzwoleniu podjęliśmy pracę. Fabryka została upaństwowiona, powstał związek zawodowy i po raz pierwszy w dziejach Chin przeprowadzono reformę systemu płac oraz wprowadzono ubezpieczenia społeczne. Zasadnicze wynagrodzenie za pracę wzrosło w ciągu półtora roku o 18%, co jednak uważamy za skromny początek. Nasi pracownicy zrozumieli, że pracują dla odbudowy własnego kraju i podwyższenia własnej stopy życiowej, a nie, jak dawniej, dla napełnienia kieszeni monopolistów. To było bodźcem do ogromnego wzmożenia wydajności pracy.

Dzisiaj produkujemy już o 17% więcej niż przed wyzwoleniem. Naturalnie stworzyliśmy szereg urządzeń socjalnych, zupełnie nieznanymi dla Japończyków i Kuomintangu: łaźnię zakładową, żłobki, spółdzielnię pracowniczą i szkołę przyfabryczną. Przed wyzwoleniem było wśród robotników i robotnic naszego zakładu 69% analfabetów. Ten smutny stan rzeczy odpowiadał najzupełniej polityce dawnych władców. Wiedzieli oni dobrze, że ciemny

robotnik jest mniej niebezpieczny dla systemu kapitalistycznego niż wykształcony. W półtorarocznym okresie zdołaliśmy przez zorganizowanie szkół, kursów i bibliotek obniżyć analfabetyzm do 20%, a w ciągu następnego roku chcemy go zupełnie zlikwidować.

Życie w naszej fabryce uległo zasadniczym zmianom od chwili wyzwolenia. Stało się weselsze, świadome celu, piękniejsze. Przejawia się to również w społecznej aktywności robotników. Wielu zgłosiło się ochotniczo do pomocy przy rozbudowie zakładów. „Pożyczkę zwycięstwa”, rozpisaną przez Republikę Ludową dla zapobieżenia inflacji/podpisaliśmy w naszej fabryce ze znaczną nadwyżką. Apel Sztokholmski podpisali nasi robotnicy i ich rodziny w 100%. Załoga fabryki wybrała sześciu robotników „bohaterami pracy”, a około 200 „przodownikami pracy” [W Chinach Ludowych „przodownicy pracy” i „bohaterowie pracy” są wybierani przez robotników poszczególnych zakładów produkcyjnych.]. W tej liczbie ponad dwie trzecie kobiet. Duszą naszych zakładów jest komórka Partii Komunistycznej i Nowa Demokratyczna Liga Młodzieży, do której należy ponad 40% młodzieży fabrycznej.

Równouprawnienie kobiet

Do mikrofonu podchodzi inteligentna, przystojna dziewczyna, bohaterka pracy, Kou Czinlan. Młoda, może 20-letnia dziewczyna mówi ze zdumiewającą pewnością siebie i swobodą. Nie jest to wypadek odosobniony.

Od pierwszego dnia podróży interesowała mnie sytuacja kobiety w nowych Chinach. Wiedziałem już z zasłyszanych w drodze opowiadań, że kobieta w Chinach była straszliwie uciskana przez dawne reakcyjne systemy. Urodzenie dziewczynki uważano w rodzinie za nieszczęście. Od dzieciństwa zniekształcano jej stopy. W niektórych prowincjach nie dopuszczano kobiet do robót polnych, w innych sprzedawano młodziutkie dziewczęta do fabryk włókienniczych, gdzie naturalnie otrzymywały niższe wynagrodzenie niż mężczyźni.

W tej dziedzinie dokonano zasadniczego przewrotu. Starsze kobiety i teraz pokazują się rzadko poza domem, widocznie nie zdołały jeszcze zupełnie zerwać z dawnymi tradycjami. Ale młode kobiety i dziewczęta występują z taką pewnością siebie i energią, a mężczyźni okazują im tyle szacunku, że odnosi się wrażenie, jakby w Chinach nigdy nie było ucisku kobiet. Spotykaliśmy kobiety na wszystkich odpowiedzialnych stanowiskach w aparacie państwowym i partyjnym, w życiu gospodarczym i kulturalnym. Powierzone im obowiązki pełniły z największą swobodą i, jak mi mówiono, wykonywały je dobrze. W skład centralnego rządu Chin wchodzi więcej kobiet niż w skład jakiegokolwiek innego rządu na świecie. Na podstawie dotychczasowych spostrzeżeń sędzę, że równouprawnienie kobiet w Chinach, przeprowadzone w sposób naturalny i bez stosowania przymusu, stało się dziś czymś samym przez się zrozumiałym.

Wyzwolony kulis

Stary mężczyzna z mocno przerzedzoną brodą prosi o głos i staje przed mikrofonem. Znać po nim zakłopotanie. Mówi powoli, dobierając słów.

„Pierwszy raz w życiu stoję przed mikrofonem i dlatego jestem trochę zdenerwowany. Nie jest łatwo przemawiać wobec tylu czcigodnych gości, przybyłych do nas z dalekich krajów. Ale właśnie ta okoliczność skłania mnie do zabrania głosu. Jestem prostym robotnikiem, elektrotechnikiem i pracuję w tej fabryce już 15 lat. Muszę wam koniecznie opowiedzieć, jak bardzo zmieniło się nasze życie, jak czujemy się szczęśliwi od chwili wyzwolenia”.

Mówca odzyskuje pewność siebie i wpada w zapał, którym pobudza raz po raz towarzyszy pracy do oklasków.

„Jak było dawniej, a jak jest dzisiaj? Dawniej chodziłem w brudnych łachmanach. Dzisiaj — spójrzcie i dotknijcie mej bluzy — dzisiaj noszę czyste ubranie. Dawniej głodowałem i często musiałem jeść rzepę i odpadki. Dzisiaj mogę sobie pozwolić na biały ryż i nierzadko na kawałek tłustej wieprzowiny. Dawniej byłem głupi, bez oporu przyjmowałem ucisk panów i pokornie słuchałem ich obelg. Dzisiaj umiem czytać i pisać, wiem całkiem dokładnie, co to jest imperializm i z całą świadomością pracuję przy odbudowie kraju. Uczęszczałem do szkoły fabrycznej, nauczyłem się dużo i opiekuję się teraz 16 uczniami przekazując im swoje doświadczenie.

Moje życie stało się piękne i nabrało sensu. Teraz wiem, że jestem człowiekiem! Jestem dziś kandydatem Partii Komunistycznej i mam nadzieję, że uznają mnie godnym przyjęcia na jej członka. To właściwie wszystko. Powtórzcie to, co powiedziałem, waszym przyjaciołom na całym świecie. Niechże i oni zastanowią się nad głosem starego chińskiego robotnika.”

Wszyscy byliśmy głęboko wzruszeni tą opowieścią, wygłoszoną z rosnącym zapałem. Czyż to nie dziw, jak rewolucja przekształciła psychicznie, wyzwoliła, obdarzyła poczuciem godności osobistej człowieka, którego plecy przygięto ku ziemi brzemieniem ciężkich lat.

Stary pałac w Pekinie

Bezkresne pola ryżowe, pokryte cienką warstwą wody przesuwają się przed oknami pociągu. Raz po raz przemykają stawy, których wodę przegradza dziwna plątanina ścianek z sitowia. Takie labirynty ułatwiają podobno połów ryb.

W coraz krótszych odstępach zaczynają migać za oknami wioski i małe osiedla, a później i fabryki. Nasze podniecenie wzrasta do kwadratu w miarę zbliżania się do Pekinu, tysiącletniej stolicy olbrzymiego kraju, stanowiącej punkt kulminacyjny naszej podróży.

Wyłaniają się i bez końca ciągną wysokie mury, opatrzone obronnymi bramami i blankami. Ich szare, przytłaczające ściany towarzyszą nam aż do dworca głównego, na który w końcu wjeżdżamy.

Znowu witają nas entuzjastycznie pionierzy z kwiatami, sekretarz generalny Nowej Demokratycznej Ligi Młodzieży Feng Wen-pin i prezydent Ogólnochińskiej Federacji Młodzieży, Liau Czen-cze. Na placu dworcowym czekają tysiączne tłumy, które nas owacyjnie przyjmują. Odbywa się krótka masówka powitalna. Olbrzymi plac jest po prawej stronie ograniczony starym murem obronnym. Ponad jego blankami strzelają w górę trzy stalowe wieże radiowe. W głębi znajduje się szeroka brama, przez którą przepływa wartki potok wielkomijskiego ruchu. Na wprost stoi potężny gmach, podobny do zamku warownego, uwieńczony ciężkim, charakterystycznie ukształtowanym dachem, którego zaokrąglone krawędzie wygięte są na narożach ku górze. Dalej na lewo roztacza się typowy obraz wielkiego miasta.

Zapraszają nas do stojących w długim szeregu luksusowych wozów amerykańskich. Te Buicki, Chyslery i Chevrolety stanowią niedobrowolny „podarunek” Amerykanów dla młodej Republiki Ludowej. Skręcamy przez wielką bramę w murze i mkniemy ulicą również z obu stron obramowaną prastarym wysokim murem. Olbrzymi plac otwiera się i znów zwęża w handlową ulicę. Stoją przy niej nowoczesne budynki w stylu europejskim, ale rzadko więcej niż trzypiętrowe. Ruch handlowy jest niezwykle ożywiony. Przeważają ultranowoczesne wielobranżowe domy towarowe. Oprócz nich trafiają się magazyny futer, jest też olbrzymia księgarnia. Nie brak i sklepów spożywczych. Ulicą przewalają się tłumy ludzi. Ruch kołowy jest nadzwyczaj intensywny i szybki. Między autami z rzadka przewijają się ryksze, rowery z przyczepkami dla pasażerów.

Skręcamy w małą, zakurzoną uliczkę. Jakiś handlarz uliczny w kolistym słomianym kapeluszu uskakuje na bok z całym swoim kramem, który niesie na ramieniu na bambusowym drążku. Otwiera się przed nami jeszcze węższa uliczka, po obu stronach której ciągnie się gładki, niezbyt wysoki mur. Zatrzymujemy się.

W pierwszej chwili rozglądamy się dokoła ze zdumieniem. Przecież dotąd zawsze lokowano nas w najbardziej nowoczesnych, pierwszorzędnym hotelach, które zapewniały najwyższy komfort XX stulecia. Czyżby Pekin przyjmował gości mniej wystawnie? Gdyśmy się jednak przedostali na drugą stronę muru przez niepozorną furtkę, ozdobioną czerwonym jedwabnym lampionem, ogarnął nas bezgraniczny podziw. Nowa Demokratyczna Liga Młodzieży przyjęła nas w pałacu dawnego dostojnika feudalnego. Przyzwyczailiśmy się do tego, że reprezentacyjne gmachy są wielopiętrowe. Tymczasem pałace chińskich feudałów są parterowe, nie ustępują jednakże pałacom europejskich wielmożów ani w przepychu ani w pięknie.

Przed nami rozciąga się wielki dziedziniec wyłożony kamiennymi płytami. Rosną na nim drzewa migdałowe i brzoskwińowe, a w dwóch olbrzymich wazach majolikowych pływają złote rybki. Dziedziniec jest okolony budynkiem przypominającym świątynię. Ciężki, wygięty dach z glazurowanych dachówek wspiera się na drewnianych czerwono lakierowanych kolumnach. Podtrzymujące go poprzeczne belki są pokryte wielobarwnymi płaskorzeźbami. Frontowa ściana budynku wznosi się poza rzędem kolumn. Widnieją w niej wielkie okna, również ozdobione rzeźbioną kratą. Dwa stylizowane kamienne lwy bronią przejścia na drugi i trzeci podobny do pierwszego dziedziniec. Całość jest pełna wdzięku i piękna, styl i koloryt tchną egzotyką. Kolumny i boki stropów wewnątrz sal są pokryte mistrzowską ornamentacją. Miejscami belka niknie w kilkuwarstwowej płataninie rzeźbionych gałęzi, liści i owoców. Z tym egzotycznym pięknem łączy się w naszych pokojach najwyższy komfort XX wieku: nowoczesne meble, elektryczność, radio, ciepła i zimna woda bieżąca, łazienki. Niestety, nie będziemy mogli rozkoszować się dłużej tym małym rajem, bo jak można sądzić z dotychczasowych doświadczeń, czeka nas z pewnością obfity program dnia. Ale przecież nie po to jedzie się do Chin, aby próżnować.

Młodzież w pałacu cesarskim

Młodzież pekińska urządza masówkę na dziedzińcu byłego pałacu cesarskiego. Wsiadamy z autobusu przed jednym z głównych wejść do pałacu. Olbrzymi plac, otoczony z trzech stron wysokimi bastionami, na których wspierają się wygięte dachy, prowadzi do bramy w ciemnoczerwonym murze. Przeszedłszy długi jej tunel dostajemy się na dziedziniec okolony budynkami w tradycyjnym chińskim stylu, znanym nam już z pałacu, w którym gościmy, z tą różnicą, że wymiary są tu bez porównania większe. Marmurowe schody o pokrytych płaskorzeźbami stopniach prowadzą do budynku na wprost bramy, po przeciwległej stronie dziedzińca. Stylizowane, złociste lwy strzegą wejścia do hali kolumnowej. Ogromne drewniane kolumny wystrzelają ku kasetonom sufitu, lśniącego przepychem jaskrawych barw: czerwieni, lazuru, zieleni i złota. Ciężka brama, okuta masywnymi miedzianymi gwoździami, staje otworem i odsłania widok na plac wypełniony zgromadzoną na mityngu powitalnym młodzieżą pekińską.

Kilka orkiestr zaczyna grać Hymn młodzieży, z ust ponad 50 tysięcy oczekujących nas młodych mieszkańców Pekinu płyną gromkie okrzyki na cześć delegacji, chorągiewki powiewają jak szalone. Nas jednak przez chwilę pochłania bez reszty niezapomniane piękny widok, rozpościerający się u stóp. Olbrzymie gmachy, przytłoczone ciężkimi, złocistymi połyskującymi dachami z glazurowanych dachówek otaczają wielki plac w kształcie kwadratu o bokach mniej więcej dwustumetrowych. Cesarze chińscy i ich architekci bez wątpienia mieli poczucie monumentalności. Schodzimy po marmurowych stopniach na plac i przecinamy go wąskim przejściem, utworzonym przez rozstępujący się przed nami

rozentuzjasmowany tłum. Po drugiej stronie podobne marmurowe schody biegną w górę, do wielkich, również marmurowych tarasów przed głównym budynkiem. Tutaj urządzono trybunę honorową, na której powiewają flagi wszystkich narodów reprezentowanych przez naszą delegację. Na pokrytej czerwonym pluszem ścianie widnieją gołębie pokoju, symbole Światowej Federacji Młodzieży Demokratycznej i portrety najwybitniejszych przywódców robotniczych. Trzeba przyznać, że Chińczycy umieją organizować imponujące uroczystości i ujmować je we wspaniałe, gustowne ramy.

Przebrzmiał właśnie Hymn Młodzieży Demokratycznej, śpiewany przez pięćdziesięciotysięczną rzeszę młodzieży, i wciągnięto flagę ŚFMD na wielki maszt na środku placu. W tej chwili małe dziewczynki wypuszczają setki białych gołębi, które wśród radosnych okrzyków zgromadzonego tłumu okrążają plac i nikną w oddali. Pionierzy w białych koszulach z czerwonymi chustkami, biało ubrani studenci uniwersytetu, kadry partyjne i młodzież robotnicza w niebieskich kombinezonach, przedstawiciele armii ludowej w żółto-brązowych mundurach, ponad nimi tysiące różnobarwnych flag i transparentów, wokoło niedostępny dawniej dla ludu, imponujący kompleks gmachów pałacu cesarskiego, wysoko, na tle słonecznego jesiennego nieba rój białych gołębi — wszystko to składa się na niezapomniany obraz i utrwala przekonanie, że nowe Chiny są krajem młodzieży, przyszłości i pokoju.

Burmistrz Pekinu, Nieh Jung-czen wygłasza mowę powitalną. Feng Wen-pin, sekretarz generalny Nowej Demokratycznej Ligi Młodzieży, milionowej organizacji młodzieży chińskiej, dołącza pozdrowienia w imieniu całej młodzieży.

„Drodzy przyjaciele i towarzysze" — mówi — „wyrazem naszej ogromnej radości z powodu waszych odwiedzin będzie podwojenie wysiłków w walce o pokój. Podajmy sobie ręce i maszerujmy naprzód pod sztandarem Światowej Federacji Młodzieży Demokratycznej. Młodzież chińska odniosła zwycięstwo po długich latach wojny i wie dobrze, jak cenny jest pokój. Pragniemy pokoju, ale nie za wszelką cenę. Nie będziemy też biernie nań czekać. Wiemy, że o pokój trzeba walczyć i trzeba go bronić. Jeżeli imperialiści amerykańscy ośmielą się rozpętać przeciw nam wojnę napastniczą, pokonamy i unicestwimy agresorów, walcząc wspólnie z całym ludem chińskim pod wodzą prezydenta Mao Tse-tunga. Jesteśmy najmocniej przekonani, że starczy nam na to sił. Ślubujemy wam, demokratycznej młodzieży całego świata, że zawsze będziemy walczyć po waszej stronie, wspierając zdecydowanie front demokracji i pokoju, że młodzież chińska nie zawaha się przed żadną ofiarą w walce o trwałą pokój i demokrację ludową!"

Po przewodniczącym Ogólnochińskiej Federacji Studentów Hsieh Pang-tingu i wicepremierze Kuo Mo-žo zabiera kolejno głos ośmiu członków naszej delegacji. Najgorętsze oklaski rozlegają się po przemówieniu sekretarza Komsomołu Semiczastnego, naszego młodego Koreańczyka oraz delegata francuskiego i wietnamskiego, którzy wystąpili

wspólnie. Rozkoszne dzieci wręczają każdemu z delegatów ogromny bukiet, po czym następuje wymiana upominków. W imieniu Wolnej Młodzieży Austriackiej wręczam Feng Wen-pinowi piękną statuetkę z brązu, przedstawiającą biegacza sztafetowego. Liga Młodzieży Chińskiej ofiarowuje w zamian dla Wolnej Młodzieży Austriackiej wspaniałą zielony proporzec jedwabny, na którym wyhaftowano gołębia pokoju i hasła pokojowe. Nie ulega wątpliwości, że upalny dzień wrześniowy wzbogacił siłę i jedność ruchu młodzieży całego świata jeszcze jedną mocną więzią przyjaźni. Delegaci młodzieży z 32 krajów zabrali do domów swoich tę pewność: żadna moc na świecie nie może rozerwać braterskiej jedności młodzieży wszystkich krajów. Idąc ramię przy ramieniu z 500-milionowym ludem Chin staliśmy się siłą niezwyciężoną.

Spotkanie z Mao Tse-tungiem

Nadeszła wielka chwila. Tłumacze wręczyli każdemu z nas podłużną kopertę, zawierającą kartę z najwykwintniejszego papieru, zadrukowaną czerwonymi znakami chińskiego pisma. To Centralny Rząd Ludowy Chin zaprasza nas na bankiet, który odbędzie się dzisiaj, w przededniu 1 października, pierwszej rocznicy powstania Chińskiej Republiki Ludowej. Na zaproszeniu widnieje podpis prezydenta Chińskiej Republiki Ludowej i przewodniczącego Komunistycznej Partii Chin, Mao Tse-tunga.

Każdy z nas od początku podróży marzył o tym, by zobaczyć go bodaj z daleka. Ze wszystkich zebrań, w których braliśmy udział, z każdej rozmowy z Chińczykami wynosiliśmy przekonanie, że naród darzy tego wyjątkowego człowieka najgłębszą czcią i miłością. Niemal legendarna postać tego komunisty, poety, męża stanu i stratega wyrosła w naszej wyobraźni, pobudzonej opowiadaniem i relacjami chińskich przyjaciół, do nadludzkich prawie wymiarów. Czuliśmy się wobec niezmiernych Chin i sławy ich genialnego wodza tak mali, że straciliśmy prawie nadzieję ujrzenia Mao Tse-tunga.

Wbrew przewidywaniom zaszczyt ten spotkał nas dwukrotnie. Pierwszy raz ujrzeliśmy Mao Tse-tunga przed trzema dniami, co prawda tylko z daleka. W wielkiej sali, w której zwykle odbywają się zebrania parlamentu chińskiego (tak zwanej Ludowej Konferencji Konsultatywnej), zgromadziło się około tysiąca najwybitniejszych bohaterów armii i pracy, by obradować nad wzmożeniem tempa odbudowy nowej Republiki Ludowej.

Naczelnny wódz Armii Ludowej Czu Ten przybył na długo przed rozpoczęciem obrad, witany żywołowo przez żołnierzy, którzy go natychmiast poznali. Zbliżył się do przeznaczonych dla gości ław, na których zasiadła nasza delegacja. Z ujmującym, szczerym uśmiechem powitał każdego z nas uściskiem dłoni, prosząc przy tym o wymienienie krajów, których jesteśmy przedstawicielami. Miał na sobie całkiem skromny mundur z żółto-brązowego sukna, jaki nosi każdy żołnierz Armii Ludowej. Na piersiach po lewej stronie munduru widniała mała

tarcza sukienka z napisem: „Chińska Armia Ludowo-Wyzwoleńcza”. Armia Ludowa jest młodą jeszcze armią; okres wojny partyzanckiej skończył się niedawno. Czu Teh to silny i krępy mężczyzna. Mocno zarysowane brwi odcinają energiczną twarz od uderzająco wysokiego czoła. Pełna prostoty swoboda, z jaką poruszał się wśród zagranicznych delegatów i własnych żołnierzy, wywarła na nas głębokie wrażenie. A więc to jest słynny strateg, który od 23 lat odgrywał główną rolę w walkach partyzanckich, w wojnie wyzwoleńczej z Japończykami i Kuomintangiem.

Kilku ministrów rządu ludowego przemawia witając zebranych. Nagle otwierają się drzwi obok stołu prezydielnego, orkiestra wojskowa gra „Tung Fang Hung” („Na wschodzie wschodzi słońce”) i ukazuje się Mao Tse-tung, witany hucznymi oklaskami zgromadzonych, którzy powstają z miejsc. W sposób naturalny, bez jakiegokolwiek pozy idzie ku swojemu miejscu i siada. Jego opanowane ruchy cechuje pewność i spokój. I on nosi proste granatowe ubranie, któremu zapięty pod szyję kołnierz nadaje charakter munduru. To jest strój Chin dzisiejszych. Nosi go robotnik i profesor uniwersytetu, pracownik partii i minister.

Głowa Mao Tse-tunga nieodparcie przyciąga ku sobie spojrzenia. Jego w miarę pełna twarz o ruchliwych rysach wyraża najczęściej głęboki spokój, czasem jednak pojawia się na niej przyjazny, niemal chłopięcy uśmiech. Ponad oczami, które potrafią człowieka przeniknąć do głębi, wznosi się wspaniałe czoło, obramowane po obu stronach charakterystycznymi czarnymi jak węgiel puklami włosów.

Mao Tse-tung wysłuchał z uśmiechem mowy przedstawiciela Szanghaju, Hwang Jen-paia, okraszonej dowcipami i żywą gestykulacją. Następnie powstał, by odczytać krótkie przemówienie powitalne z kartki pokrytej wielkimi, ręcznie malowanymi znakami. Mówił miłym barytonem bez patosu i efektów dramatycznych.

Z kolei nastąpiło wręczenie darów. Żołnierze przynieśli Czu Te wspaniałą sztandar jedwabny. Po nich wśród nie kończących się oklasków przystąpiła do trybuny stara chłopka i podała Mao Tse-tungowi mały woreczek zboża — skromny podarek wsi, która ją delegowała na posiedzenie. Mao skłonił się nisko przed prostą kobietą z ludu, ujął obie jej dłonie i rozmawiał z nią długo i uważnie. Stali tak oboje kilka minut — symbol niezwykłej siły nowych Chin, polegającej na sojuszu Partii Komunistycznej z milionowymi masami chłopskimi.

Działo się to 3 dni temu. Dzisiaj prawdopodobnie ujrzymy Mao całkiem z bliska. W tej chwili posuwając się w długim szeregu ludzi, zdążamy do wielkiej sali bankietowej hotelu Pekin, w której panuje rozgwar i gorączkowa krzątanina.

Audiencja u Centralnego Rządu Ludowego

U wejścia do wielkiej sali przyjęć witają nas małżonki Mao Tse-tunga i Zhou Enlaia, obie w skromnych, zapiętych pod szyję czarnych sukniach. Następnie wita nas prezes Rady Ministrów Zhou Enlai silnie i serdecznie ściskając nam dłonie.

W sali przyjęć, zalanej światłem jupiterów filmowych, zebrały się setki gości pragnących złożyć rządowi ludowemu życzenia z okazji dzisiejszego święta narodowego. Są tu ambasadorowie Związku Radzieckiego, państw demokracji ludowej, niedawno przybyły ambasador Indii oraz przedstawiciele innych państw, które już uznały Republikę Ludową. Wśród zebranych krążą z ożywieniem miejscowi i zagraniczni sprawozdawcy prasowi. Honorowymi jednak gośćmi dzisiejszego wieczoru są bohaterzy Chin Ludowych, bohaterzy walki i pracy, z których pomocą powstała Republika Ludowa. Spotykamy sporo dawnych dobrych znajomych: tokarza Czaó Go-ju z Mukdenu, traktorzystkę Liang Czun z Cicikaru, maszynistkę Tien Kwei-jin i dzielną Czaó Kuei-lan z Dalnij.

Delegacje mniejszości narodowych zwracają na siebie uwagę strojami regionalnymi o wspaniałych barwach. Mniejszości stanowią 6 do 7% ogółu ludności Chin. Dawniej były uciskane przez Kuomintang. Nowa, demokratyczna rewolucja zerwała z polityką ucisku i zapewniła mniejszościom całkowite równouprawnienie i samorząd. Jest jeszcze jednak dużo trudności do pokonania, ponieważ obszary mniejszości narodowych są szczególnie zacofane gospodarczo.

W końcu sali widać olbrzymią flagę Republiki Ludowej, ozdobioną portretami Mao Tse-tunga i doktora Sun Jat-sena, zmarłego w 1925 r. przywódcy demokratyczno-burżuazyjnej rewolucji. Na czerwonym tle flagi widnieje wielka złota gwiazda okolona czterema mniejszymi. Lud objaśnia te symbole w następujący sposób: wielka gwiazda oznacza Komunistyczną Partię Chin, przewodnią siłę nowej Demokratycznej Rewolucji, cztery mniejsze wyobrażają demokratyczne warstwy chińskiego ludu, tworzące Front Narodowy skupiony wokół Komunistycznej Partii: chłopów, robotników, drobnomieszczan i narodową burżuazję.

Podszedłszy bliżej spostrzegamy stojący pod wielką flagą stół Prezydium Rządu Republiki Ludowej, obok którego przesuwają się goście, aby złożyć gratulacje Mao Tse-tungowi. Prezydent Mao stoi w otoczeniu pięciu zastępców. Tuż przy nim widać naczelnego wodza Armii Ludowo-Wyzwoleńczej Czu Teh, sekretarza generalnego Komunistycznej Partii Chin Liu Shaoqi. Tę trójkę symbolizującą lud, armię i partię uzupełniają trzej inni zastępcy, reprezentujący małomieszczańskie i mieszczańskie warstwy ludności Chin: Li Si-czen, przywódca Rewolucyjnego Komitetu Kuomintangu, Czang Lan, przedstawiciel średniej burżuazji i Sun Czing-ling, wdowa po Sun Jat-senie. Na jej widok ogarnia naszego Duńczyka Palle Voigta najwyższe podniecenie. Zaczyna coś gwałtownie pisać w notesie. „To będzie sensacja dla duńskiej prasy — mówi tryumfująco. — Nasze bowiem konserwatywne pisma

twierdziły przed kilku miesiącami, że źli „czerwoni” zamordowali wdowę po Sun Jat-senie, a przecież jeśli mnie wzrok nie myli, jest ona zupełnie żywa”.

Już czoło naszej delegacji dotarło do stołu prezydialnego i Mao Tse-tung wymienia serdeczny uścisk dłoni z Boccarą. Nadchodzi wreszcie kolej na delegata małej „Audili”. Czang Lan, starzec z rzadką srebrną brodą, w tradycyjnym jedwabnym kaftanie skłania się głęboko, gdy tłumacz wymienia imię i nazwisko gościa. Pani Sun Jat-sen wygląda zadziwiająco młodo (przyzwyczaiłem się już w Chinach dodawać dziesięć lat do moich ocen wieku). Jej skromny chiński stylowy kostium jest wyszukanie elegancki. Teraz podaje mi rękę Liu Shaoqi. Jego oblicze mimo ujmującego uśmiechu zachowuje surowy, krytyczny wyraz. Wygląda na mężczyznę obdarzonego przenikliwą inteligencją i świadomą celu energią.

Mao Tse-tung

Serce zaczyna mi gwałtownie bić, gdy staję przed Mao Tse-tungiem i składam mu życzenia. Mao ujmuje moją rękę w swoje delikatne dłonie i przechylając głowę przysłuchuje się uważnie tłumaczowi. Podobnie jak Liu Shaoqi nosi gładką czarną kurtkę z zapiętym pod szyją kołnierzem. Znowu nie mogę nie poddać się wrażeniu, jakie wywiera na mnie jego wysokie czoło, przysłonięte po bokach dwoma puklami kruczoczarnych włosów. Promieniują od niego majestatyczny spokój i pewność siebie. W takich chwilach myśli mącą się w głowie. Chyba już nigdy w życiu nie zdarzy mi się sposobność stanąć znów przed obliczem geniusza narodu chińskiego, który od dwóch z górą dziesiątków lat silną dłonią kieruje przebiegiem Nowej Demokratycznej Rewolucji, który obdarzył swój naród wolnością, a chłopów chińskich — ziemią. Jakże mizernie przedstawia się w porównaniu z Mao Tse-tungiem jego główny przeciwnik, błyszczący złotem i orderami, pyszałkowaty agent Stanów Zjednoczonych Ameryki — Czang Kai-szek.

Z kolei staję przed Czu Teh, który z szerokim, dobrodusznym uśmiechem wyciąga do mnie rękę. Jeszcze ukłon przed Li Si-czenem, małym ruchliwym panem z charakterystyczną spiczastą bródką — i nasza delegacja kieruje się do honorowego stołu, przylegającego bezpośrednio do stołu rządowego.

Germanista pekińskiego uniwersytetu, profesor Feng Czi, podjął się uprzejmie służyć Helmutowi i mnie za tłumacza w czasie naszego pobytu w Pekinie. Teraz stoi obok nas i zaleca nam wyborowe chińskie potrawy, piętrzące się na stole. Nic jednak nie potrafię powiedzieć o smaku korzeni lotosu, które bezmyślnie wkładam do ust, gdyż siedząc o kilka kroków zaledwie od Mao Tse-tunga zamieniam się cały we wzrok i słuch. Zhou Enlai podchodzi do naszego stołu, gawędząc wesoło w różnych językach napełnia szampanem nasze kieliszki i trąca się z nami kilkakrotnie. Wznosi toast na cześć pokoju, jedności

młodzieży wszystkich krajów i przyjaźni Chin z wszystkimi narodami świata. Jest to typ poważnego męża stanu, który oczarowuje każdego swoim ujmującym sposobem bycia. Przyjęcie trwa prawie dwie godziny.

Święto narodowe

1 października 1950 r. jest pierwszą rocznicą utworzenia Chińskiej Republiki Ludowej. Młoda republika dokonała olbrzymiego dzieła w krótkim czasie swego istnienia. Rozbiła resztki wojsk kuomintangowskich na chińskim lądzie i wielkiej wyspie Hainan. Odbudowała prawie w zupełności zniszczone przez cofających się bandytów Kuomintangu zakłady przemysłowe i fabryki. Robotnicy ogarnięci nieporównanym entuzjazmem pracy przekroczyli znacznie przedwojenny poziom produkcji w kluczowych gałęziach przemysłu. Zahamowano odziedziczoną po Kuomintangu fantastyczną, bilionów sięgającą inflację — i ceny wykazują tendencję zniżkową. W jednej trzeciej części kraju przeprowadzono całkowicie reformę rolną, w pozostałych dwóch trzecich trwa kampania o obniżkę czynszów dzierżawnych i przygotowuje się reformę rolną. Po raz pierwszy od dziesiątków lat naród chiński ma zapewnione podstawowe warunki bytu materialnego, wyżywienie i odzież, bez uciekania się do zagranicznej pomocy.

Do bohaterskiej epepei dwudziestoletniej walki o wolność można dodać niemniej heroiczne strofy odbudowy dokonanej w ubiegłym roku. To wystarczający powód do świętowania, radowania się osiągniętymi wynikami i do przeglądu sił mających wypełnić zadania, jakie stawia przyszłość.

Już od wczesnego rana odświętnie ubrane tłumy podążają do śródmieścia, na miejsce zbiórki wielkiej manifestacji narodowej. Ludzi tak radośnie nastrojonych i tak pełnych zdecydowanej woli spotykałem w Austrii jedynie 1 maja, w dniu święta klasy robotniczej. Różnica polega na tym, że w uroczystościach październikowych w Chinach bierze udział cały naród, nie wyłącznie klasa robotnicza, oraz na tym, że tutaj święci się nie tylko walkę, ale i zwycięstwo.

Przeгляд Armii Ludowej i manifestacja ludności Pekinu odbywa się na obszernym placu przed głównym wejściem do pałacu cesarskiego, tak zwaną Bramą Pokoju Niebios, Tien An. Gdy rozglądamy się wokoło z długich trybun, na których zajęli miejsca chińscy bohaterzy ludowi, zagraniczni dyplomaci i goście, nasuwa się nam mimo woli myśl: „To jest Czerwony Plac Pekinu”. Oczywiście tylko ciemnoczerwony kolor murów cesarskiego pałacu i rozległość placu przypomina Czerwony Plac w Moskwie. Ale i tu, równie jak tam, odczuwamy, że znajdujemy się w sercu olbrzymiego rewolucyjnego państwa — tylko to serce jest chińskie.

Przed złożonym kasztelem, wznoszącym się ponad bramą, zwracają uwagę dwa niezwykle, niesymetryczne w kształcie marmurowe filary. Porywający jest rozmach łuków pięciu marmurowych mostów biegnących ponad fosą zamkową, malownicze i barwne, pokryte rzeźbami łuki bram, pod którymi przebiega trasa przemarszu. Nad trybunami, które wypełnili goście, unosi się szmer rozmów. Po drugiej stronie placu stoją w milczeniu nieprzejrzałe brunatnożółte szeregi armii ludowej. Pośrodku wielka orkiestra.

Z uderzeniem jedenastej godziny nastaje cisza, a potem wybucha entuzjastyczna owacja: w bramie Tien An ukazuje się rząd ludowy z Mao Tse-tungiem na czele. Brzmi hymn narodowy „Czi lai” („Powstańcie!”) i kilka baterii oddaje 28 salw. Chińscy artylerzyści nie szczędzą prochu i Lidia zatyka sobie uszy, aby ochronić je od huku salutu. W końcu pojawia się w bramie nowiutki amerykański Willys. Naczelnny wódz Armii Ludowo - Wyzwoleńczej, Czu Teh, przejeżdża w nim przed frontem oddziałów. Potem pozdrawia jeszcze długą kolumnę młodych pionierów, którzy czekają daleko na trasie przemarszu. Stąd wraca do trybuny rządowej i wygłasza krótką przemowę do armii. Główne jej zadania to obrona państwa chińskiego przed każdą napaścią z zewnątrz oraz wyzwolenie Tybetu i chińskiej wyspy Tajwan (Formoza).

Armia

Rozpoczyna się defilada wojskowa. Przechodzą: pułk lotniczy, dwa pułki marynarzy i sześć piechoty. Armia Ludowa maszeruje bez gestów marsowych, bez wyrzucania nóg i przytupywania. Ledwo słyhać krok żołnierzy — tak jest sprężysty, elastyczny, prawie nieuchwytny. Dzielność bez pruskiego drylu; świadoma dyscyplina bez niewolniczego posłuchu promieniuje ze świetnie wyrównanych szeregów. W skład każdego pułku wchodzi batalion całkowicie wyposażony w lekkie amerykańskie karabiny maszynowe. Po przemarszu piechoty przeciąga z tętentem kilka szwadronów kawalerii. Konie mandzurskie, niezwykle małe, wyglądają jak kuce; są jednak podobno bardzo wytrzymałe i niewybredne w paszy. Teraz toczy się z hukiem, rozsiewając odór benzyny, broń zmechanizowana, konkurentka konnicy: długi wąż lekkich i średnich czołgów amerykańskich, za nimi zmotoryzowany pułk strzelców i silne formacje ciężkiej artylerii, (działa są również amerykańskie). Wall Street dostarczyła Czang Kai-szekowi broni i ekwipunku wartości ponad pięciu miliardów dolarów, wystarczającego do wyposażenia dwunastomilionowej marionetkowej armii. Ta broń zamieniła się niezmiernie szybko w wielkoduszny dar dla Armii Ludowo-Wyzwoleńczej. Nadciągają zmotoryzowane działa przeciwpancerne, później średnie działa przeciwlotnicze marki Oerlikon, jeśli się nie mylę. Ponad kolumnami wojska huczy kilkaset eskadr lotniczych, witanych gęstymi oklaskami. Dokładnie po upływie godziny defilada wojskowa dobiega końca.

Lud

Teraz nadchodzi ludność Pekinu. Najpierw młodzież. Przez plac przeciągają tysiące młodych pionierów. Wyglądają zgrabnie w czarnych spodniach lub też spódniczkach, białych koszulach i czerwonych chustkach. Niosą czerwone jedwabne chorągwie, bukiety kwiatów i gołębie pokoju, które przed trybuną wypuszczają na wolność. Cały plac rozbrzmiewa radosną owacją na widok przepięknych dzieci — przyszłości Chin. Za nimi idą kolejarzy i zorganizowani w związkach zawodowych robotnicy przemysłowi. Niosą portrety Mao Tse-tunga, Stalina oraz najwybitniejszych osobistości Chin i międzynarodowego ruchu robotniczego. Załogi fabryk ciągną z modelami wytworów swojej produkcji i z dumą pokazują osiągnięte wyniki.

Minęło dwie i pół godziny, a jeszcze nie widać końca kolumn płynących przez Tien An w szeregach po 100 i 120 osób. Słońce praży niemiłosiernie. Niektórzy z nas zrobili już sobie z gazet hełmy tropikalne. Inni zorientowali się, że pod trybuną można otrzymać chłodzące napoje.

Teraz zbliżają się pochody poszczególnych dzielnic. Nasze pole widzenia jest trochę ograniczone: przed nami stoi trybuna zajęta przez bohaterów walki i pracy. Nie możemy więc widzieć nóg maszerujących, lecz tylko ich twarze, co wywołuje wrażenie, że szeregi ludzkie nie kroczą, nie idą, lecz płyną i płyną. Widok nieprzejrzanych tłumów, które wlewają się na plac czterema otworami wielkich bram, zatrzymują się przed trybuną Mao Tse-tunga i potem z ociąganiem odpływają, przywodzi na myśl olbrzymie prarzeki chińskie. Rzeka setek tysięcy radujących się, śmiejących, tańczących ludzi, płynące nad nimi jak żagle chorągwie i portrety — czyż to nie symbol niewyczerpanej i niezwykniętej siły? Rzadko ma się do czynienia z tak ucieleśnionym i tak bezpośrednio uchwytnym pojęciem „ludu”. Ci wszyscy ludzie pragną tego samego, walczą o te same cele, co klasa robotnicza w Austrii, we wszystkich krajach kuli ziemskiej. Wyklęci tej ziemi powstali, człowiek-olbrzym pręży ramiona w poczuciu siły. Jakże pięknie jest być człowiekiem! „Łączcie się miliony!” rozbrzmiewa w moim sercu. Beethoven przeczuł widocznie w wieszczym natchnieniu hasło nowej epoki, gdy tworzył tę nieśmiertelną melodię.

Napływa fala odzianych w biel studentów pekińskich uniwersytetów i innych wyższych uczelni. Współ z nimi kroczą profesorowie i docenci. Jak raźnie maszerują młodzi ludzie! Jakby nie chcieli stracić łączności z postępującymi przed nimi masami pekińskiego ludu, jakby szli na zdobycie nowego jutra, o którym marzą, dla którego pracują.

Przed trybuną tworzy się tym razem szczególnie duży zator. Studenci nie chcą iść dalej nie wypowiedziawszy swojej wdzięczności rządowi i kierownictwu Partii Komunistycznej. Przez kilka minut rozlegają się oklaski, powiewają chorągwie, kwiaty lecą na trybuny. To serca

młodzieży dają wyraz wdzięczności za to, że rewolucja otworzyła jej bramy do promiennej przyszłości.

Ułynęło pięć godzin i teraz dopiero zbliżają się ostatnie grupy. Są to tysiączne zespoły tancerzy jangko. Porywa nas przepych wielobarwnych jedwabnych kostiumów i werwa, z jaką ta wspaniała młodzież oddaje się nieskrępowanej radości ruchu. Olbrzymim grupom tanecznym towarzyszy równie olbrzymia orkiestra. Składa się z zespołu kilku tysięcy mężczyzn bijących w bębny i mosiężne talerze. Dyrygentem jest młody chłopiec, który dwiema drewnianymi pałkami uderza w olbrzymi kocioł, wieziony przed nim na wysokim wozie. Głuche bębnienie łączy się z przenikliwym dźwiękiem talerzy w odgłos dudnienia i trzasku przypominający wjazd pociągu pospiesznego do hali dworcowej. Miękkie, rozkołysane płasy tancerzy i artystyczne falowanie jedwabnych wstęg przedziwnie kontrastują z potężnymi odgłosami orkiestry.

Przez cały dzień Pekin jest rozśpiewany, roztańczony i rozbrzmiewa muzyką. Nawet późno w noc, gdy zagasty już imponujące ognie sztuczne przy Tien An, powietrze rozbrzmiewa melodiami.

Niezwyknięta wieś

Ułynęły już dwie godziny od chwili, gdy nasza delegacja w nowiuteńkich amerykańskich Willysach opuściła Paoting, stolicę prowincji Hope. Jedziemy bezkresną równiną lessową i tylko od strony Paotingu mającą we mgle błękitnawe zarysy gór. Okolica jest gęsto zaludniona, wioski oddalone od siebie zaledwie o parę kilometrów. Na polach pracuje dużo ludzi młodych i starych. Na widok tumanów kurzu, ciągnących się za naszą kolumną, podbiegają zdumieni ku drodze, pokazują sobie niezwykle twarze cudzoziemców, śmieją się i wymachują przyjaźnie rękami.

W jakiejś większej osadzie znów wyraziście rzuca się w oczy kontrast między nowymi a starymi Chinami. Na ulicy odbywa się właśnie jarmark. Droga jest tak wąska, że nasze pojazdy z trudem przeciskają się między straganami. Są to po większej części zwykłe drewniane stoły, na których handlarze rozłożyli różnorodne towary: gruboziarnistą sól, korzenie, przyprawy kuchenne, mięso, kolorowy papier, farby i pędzle. Ociekające tłuszczem pączki błyszczą w słońcu. Nad artykułami żywnościowymi unoszą się roje much i zbierają się, na nich warstwy kurz Targ nie odbywa się bynajmniej we wzorowych warunkach higienicznych. Między kramami przewijają się tłum; ludzi, wśród nich półnagie dzieci. Nasza kawalkada wzbudza naturalnie sensację i gromady dzieci biegną przez cały teren targowy za autami.

Na następnej ulicy nad czysto pobielonym domem powiewa wielka chorągiew Czerwonego Krzyża. Lekarze i siostry w białych kitlach, zwabieni hałasem towarzyszącym naszej karawanie, wychodzą przed bramę i pozdrawiają nas przyjaźnie. Jest to jeden z punktów sanitarnych, których siecią rząd ludowy pokrył cały kraj.

Stacje sanitarne stanowią ośrodki leczenia, szczepień oraz wypraw w teren celem pouczenia mas o podstawowych zasadach higieny. Akcja terenowa obejmuje ponadto naukę czytania, występy zespołów tanecznych i pracę grup agitacyjno-politycznych. Z ośrodków promieniuje nowe życie, życie w zdrowiu, czystości, higienie: dzięki nim podnosi się poziom wykształcenia i uświadomienia politycznego wsi wyrwanej z tysiącletniej tępej wegetacji.

Kradzież kolei

Dotarliśmy do okolic, w których walka chłopskich partyzantów z Japończykami i bandami Kuomintangu przybrała szczególnie interesujące formy i odnosiła stale sukcesy. Świadczą o tym liczne wysadzone lub ciężko uszkodzone bunkry i umocnienia ziemne wzdłuż linii kolejowej, w pobliżu której jedziemy obecnie.

Towarzyszający nam Liu, szef sztabu generalnego okręgu wojskowego Hope, opowiada o bohaterskim czynie chłopów, który długo żyć będzie w pamięci mieszkańców okolicznych wsi. Linia kolejowa, biegnąca równolegle do naszej drogi, jest główną arterią komunikacyjną prowadzącą z Pekinu do Wuhan (Hankau). Miała ona dla Japończyków pierwszorzędne znaczenie strategiczne. Cała okolica roiła się od partyzantów, tak że Japończycy nie odważali się zapuszczać w pola i do wiosek. Partyzanci atakowali również linię kolejową i dlatego wróg zabezpieczył tory gęstą siecią betonowych bunkrów i umocnień ziemnych.

Pewnej nocy kilka tysięcy partyzantów wspomaganych przez masy chłopskie z okolicznych wsi zaatakowało i zdobyło punkty oparcia Japończyków. Dwa do trzech dni, potrzebne Japończykom do ściągnięcia posiłków, zużyli chłopci na rozmontowanie szyn na przestrzeni 50 kilometrów, następnie zaciągnęli je na pola i tam zakopali. Japończycy nie potrafili odnaleźć i ułożyć ukrytych szyn.

Po wyzwoleniu tych okolic przez Armię Ludową całymi dniami toczyły się zaprzężone w woły wozy chłopskie, zwożące szyny i podkłady „zakopanej kolei”. Chłopi przekazali je nowemu państwu w dniu wielkiego święta ludowego. Generał Liu był w owym czasie skromnym dowódcą partyzantów i jednym z inicjatorów tego legendarnego czynu.

Wzdłuż całej linii kolejowej, przy każdym bunkrze, na każdym moście i podjeździe stoją grupy dobrze uzbrojonych chłopów: na biodrach noszą pasy z nabojami, a w twardych dłoniach trzymają najeżone bagnetami karabiny. Czyżby ogłoszono stan oblężenia? —

Generał Liu uspokaja nas wyjaśniając, że to chłopski korpus samoobrony stawił się w pełnym rynsztunku na powitanie delegacji. Korpus ten powstał za czasów okupacji japońskiej i stanowił ochotniczą formację chłopską. Przy odrobinie fantazji można by ją porównać ze strzelcami tyrolskimi z czasów Andrzeja Hofera.

Chłopi śpiewają międzynarodówkę

Długa kolumna amerykańskich willysów, w których siedzą stłoczeni, okryci warstwą kurzu członkowie delegacji, zbliża się do celu dzisiejszej podróży, jest nim wieś Jentsung, ośrodek ruchu partyzanckiego w prowincji Hope, położona około 50 kilometrów na południe od stolicy prowincji Paoting. Wynurzają się przed nami grupy drzew, wśród których rozsiane są skromne domki z niewypalonych cegieł; podobne barwą do brunatnożółtej gleby lessowej, wydają się organicznie z nią zrosnięte

Ledwie samochody zdążyły zatrzymać się, otacza je wiwatująca na naszą cześć młodzież wiejska. Wręczają nam kwiaty i bez ceremonii wysadzają nas z pudeł samochodów. Cała wieś jest na nogach. Dorośli stoją w pewnej, wyrażającej szacunek odległości, ale śmieją się, kiwają rękami, powiewają chorągiewkami. Po chwili intonują Międzynarodówkę. Ogarnia nas zdumienie, bo absolutnie nie oczekiwaliśmy, że usłyszymy tę bojową pieśń ruchu robotniczego w maleńkiej wiosce w głębi Chin. Wita nas młody inteligentny wójt w prostym lnianym kitlu. Mówi o amerykańskiej agresji w Korei, Apelu Sztokholmskim, o przyjaźni łączącej młodzież całego świata.

Prowadzą nas do olbrzymiego namiotu, rozpiętego przez żołnierzy na placu pośrodku wsi. Po gruntownym umyciu siadamy w namiocie na matach z łyka. Gromada młodych wieśniaczek robi honory domu. Podają najpierw delikatne słodkie kartofle, podobne w smaku do kasztanów, potem jaglaną kaszę z jajami i ciasto kukurydziane, a na deser orzechy, trzcinę cukrową i przypiekane pestki dyni.

Towarzyszący nam Liu pochodzi z tej wsi i dowodził partyzantką na jej terenie. Rozwija teraz mapę sztabową i objaśnia przebieg walki z Japończykami i wojskami Kuomintangu. Wieś Jentsung, zamieszkała przez 511 rodzin, opierała się przez 12 lat atakom Japończyków i band Czang Kai-szeka. Obrońcy ani razu nie dopuścili do zajęcia wsi przez wroga. Kiedy w 1937 r. Japończycy wkroczyli do Hope, kilku młodych chłopców ze wsi postanowiło zorganizować ruch oporu przeciw najeźdźcy. Było wśród nich trzech komunistów. Akcję rozpoczęli od wypadu na kompanię wojsk Kuomintangu cofających się tchórzliwie przed Japończykami. Zdobyte w tej potyczce dwa karabiny maszynowe i dwadzieścia cztery ręczne stały się podstawą wyposażenia bojowego partyzantów. Wieś odparła ogółem 16 silnych ataków wojsk japońskich, które poniosły w nich dotkliwe straty. Natomiast straty wsi były

wyjatkowo małe, w każdym razie znacznie mniejsze od tych, jakie poniosły osiedla zdobyte i w ciągu długich lat łupione przez Japończyków.

Liu przedstawia nam niektórych partyzantów. Pierwszy — to obecny wójt Wang, który w styczniu 1943 r. przy pomocy 4 zaledwie mężczyzn obronił wieś przeciw 2 000 Japończyków, zabił 47 przeciwników i zdobył 30 karabinów. Po nim podchodzi do nas dowódca grupy minerów Liung. Ten wysmukły młodzieniec o sprytnym uśmiechu brał udział w 72 potyczkach. Trzeci występuje Wang Czi-fu żywo oklaskiwany przez otaczających chłopów i pokazuje okaleczone ramię. Stracił rękę przy wybuchu miny, która zabiła 20 żołdaków Kuomintangu. Było to w listopadzie 1947 r. Wojska Kuomintangu w sile 15 000 ludzi przypuściły wówczas gwałtowny, lecz bezskuteczny atak na wieś; Wang był jedynym obrońcą rannym w tej bitwie, która kosztowała Kuomintang 256 żołnierzy.

Fantazja czy rzeczywistość?

Cała ta historia wydaje się nam cokolwiek niewiarygodna. Czyż możliwe, by wieś położona na bezleśnej równinie mogła opierać się przez całe 12 lat nieprzyjacielowi czasami dziesięciokrotnie silniejszemu? Na ogół jednak Chińczycy nie mają zwyczaju przesadzać. Przeciwnie, skromność ich graniczy niekiedy z pomniejszaniem własnej wartości.

Generał Liu zauważył naturalnie nasze niepewne miny: „Wydaje się to wam nieprawdopodobne? Proszę, przyjrzyjcie się obronnym umocnieniom wsi, a zrozumiecie wszystko”. Miejscowa milicja odtworzy walkę w pozostałych z czasów wojny umocnieniach.

Idziemy przez pola i zbliżamy się do skraju wioski. Nagle rozbrzmiewa w pobliżu trzask salwy i ze wszystkich stron rozlega się ogłuszająca nas zupełnie strzelanina. Gdzie są strzelcy? W polu widzenia nie ma nic poza zeschniętym zielskiem na ogołoconych już kartofliskach. Nagle Moumouni krzyczy jak szalony i w podnieceniu wskazuje na ziemię. Pędzimy w tę stronę wszyscy i widzimy pod niepozorną kępą trawy mały otwór, z którego sterczy lufa karabinu. Odkrywamy jeszcze trzy takie podziemne strzelnice. Naturalnie za karabinami musi ktoś siedzieć. Jak dostali się strzelcy pod ziemię? Nie widać ani śladu robót ziemnych, a przecież znajdujemy się kilkaset metrów poza wsią. Zarówno wójt jak i około dwustu otaczających nas ludzi wybucha gromkim śmiechem na widok naszych zdumionych min: „To jest tajemnica naszych zwycięstw w tej wiosce” — mówi generał Liu. — „Nie ma tu, jak widzicie, ani gór, ani rozległych lasów, w których partyzanci mogliby szukać schronienia. Ponieważ zaś według teorii Mao Tse-tunga akcja partyzancka nie jest możliwa bez silnej bazy, chłopci tej okolicy wpadli na pomysł urządzenia takiej bazy pod ziemią. Pod wsią na głębokości trzech do pięciu metrów ciągnie się ponad 30 kilometrów podziemnych korytarzy i tuneli wykopanych ogromnym nakładem pracy przez chłopów. Tunele łączą z sobą domy i prowadzą daleko w pola. Są zaopatrzone w liczne stanowiska bojowe i strzelnice, z których,

jak właśnie widzieliśmy, można walczyć nie będąc samemu narażonym. Ten podziemny front był odpowiedzią chłopów na japońską taktykę niszczenia wszystkiego nad ziemią. Tunele chroniły przed napaścią Japończyków nasze żony i dzieci, bydło ; zapasy zboża. Walcząc pod ich osłoną mogliśmy bronić naszych wsi i zadawać przeciwnikowi ciężkie straty. Tunele zapewniały nam swobodę ruchów i umożliwiały wypadki na tyły wroga. System tuneli — to były nasze wyzwolone tereny. Naturalnie taka taktyka bojowa możliwa była tylko przy poparciu całej ludności."

Dowiadujemy się, że w 1943 r., podczas wielkiego ataku Japończyków na wieś, wysłedzono o kilka kilometrów od niej siedzibę japońskiej komendy. Po kilku tygodniach robót doprowadzono tunel w pobliże tego miejsca, urządzono w nocy wypad na sztab japoński i wzięto go do niewoli.

Oczywiście gorąco pragniemy zwiedzić tunele. Po powrocie do namiotu otrzymujemy ubiór partyzancki: bluzy i spodnie najprostszego kroju, z grubego materiału i najwidoczniej ręcznie szyte. W tunelach jest dosyć brudno, w ten więc sposób ochronimy nasze ubrania przed zniszczeniem. Na głowie zwyczajem wieśniaków i żołnierzy zawiązujemy na węzeł włochaty ręcznik. Oczywiście nie ma końca żartom, gdy oglądamy się wzajemnie w tym przebraniu.

Wieś podziemna

W drodze do wsi towarzyszy nam strzelanina z dachów, okien i z ziemi. Strzelający milicjanci są niewidoczni, ale salwy rozlegają się ze wszystkich stron. W glinianych ścianach domów widnieją liczne strzelnice. Do tych samych celów przystosowane są piwniczne jamy, a na dachach znajdują się dobrze zamaskowane stanowiska strzelców. Lufy strzelb sterczą z niewinnych kępek trawy na skraju wiejskiej ulicy, a nawet z dziupli potężnego starego drzewa. Cała wieś sprawia wrażenie, jakby została podminowana i zamieniona w twierdzę.

Zatrzymujemy się przed jednym z domów. Starszy wiekiem milicjant wchodzi do wnętrza, śmieje się z okna, daje ognia ze swej strzelby i znika. Generał Liu woła: „Kto go znajdzie? Przeszukajcie dom!” Nie czekamy na powtórny zachętę i wpadamy do środka. Stara wieśniaczka i dwie młode dziewczyny stoją w kuchni i pozdrawiają nas przyjaźnie. Rozglądamy się wokoło. Ani śladu naszego partyzanta. Niespodzianie znajdujemy czarny otwór w murze i czołgamy się przezeń do zupełnie ciemnej szopy. Potykamy się o kosze i narzędzia rolnicze. Wyjmujemy latarki elektryczne, ale i z ich pomocą nic nie możemy odkryć. Opukiwanie ścian również nie daje wyników. A jednak? Czy nie śmieje się ktoś za murem? Rzeczywiście. Nagle porusza się kilka glinianych cegieł w ścianie szopy, odskakują małe drzwiczki, doskonale zamaskowane tymi właśnie cegłami — i wiązka światła z kieszonkowej latarki pada na roześmianą przekornie twarz strzelca. W tej samej chwili strzelec znika znowu bez śladu.

„Kto go teraz znajdzie?” woła Liu. Kilku ciekawskich przepatruje otwór w ścianie. Głęboki wąski loch prowadzi stąd prostopadle w dół. Wciskam się do niego za towarzyszami i nagle pomimo zapierania się łokciami i kolanami spadam na łeb na szyję obrywając za sobą masę gliniastej ziemi. Na szczęście wkrótce dosięgam dna lochu głębokiego na 3—4 metrów. Jest tu duszno, zimno i wilgotno. Oświetlam latarką jamę wygrzebaną w glinie, z której prowadzą w różnych kierunkach cztery tunele. Wybieram ten, z którego dochodzi hałas idących przede mną. Trzeba się czołgać na czworakach przez wąską szczelinę. Ściany są z wilgotnej gliny, na dnie chlupoce trochę wody. Nic dziwnego, że tunele jeszcze się nie zawaliły — lepka glina jest wyśmienitym materiałem budowlanym. Już przeczołgałem się około dziesięciu metrów i zaczynam odczuwać dotkliwy brak powietrza. To, co dla nas, ciekawych wszystkiego zagranicznych gości, stanowi wolną od niebezpieczeństwa sensację, dla chłopów tej wioski było przez kilkanaście lat ciężką, krwawą walką o życie. Tu w zatęchłym powietrzu gliniastego tunelu panuje dotąd jeszcze atmosfera tych bohaterskich bojów.

Rozjaśnia się nieco i wyczołguję się z korytarza do większej jamy, w której siedzi trzech ludzi: dwóch delegatów i strzelec z okna. Tuż pod powałą wąskiego sklepienia znajdują się maleńkie strzelnice. Z trzech widać ulicę wiejską, czwarta wychodzi na dom, który dopiero co „szturmowaliśmy”. Helmut z Drezna stoi pod bramą i dyskutuje z Mac Cannem. Przez inny korytarz wydostajemy się na podwórze sąsiedniego domu. Wyjście znajduje się w studni. Nikt go nie wykryje, jeśli z tunelu wyciągnie się do góry coś w rodzaju mostu zwodzonego. Dla nieproszonych gości są ponadto przygotowane tkwiące w dnie głębokiej studni zaostrzone koły drewniane.

Wynalazczość chłopska

Nasz szacunek dla pomysłowości chłopów urasta w nieskończoność, gdy objaśniają nam, jak są zrobione strzelnice umożliwiające krzyżowy ogień i pokazują inne urządzenia obronne w domach. Otwierają wrota jednego z domów. Po stronie wewnętrznej znajduje się prosty mechanizm ze sznurków, który w razie niebezpieczeństwa powoduje wybuch zamaskowanego pod drzwiami granatu ręcznego. Następny intruz będzie naturalnie najpierw podejrzliwie obserwować ziemię. Nic mu to nie pomoże, gdy bowiem otworzy drugie drzwi prowadzące do wnętrza domu. wybuchnie mu bomba nad głową. Ponadto można ostrzeliwać podwórze z maleńkich strzelnic w ścianie stajni.

Trudno wprost uwierzyć, że tyle pomysłów zrodziło się w głowach uciskanych chłopów. To jest prawdziwa inicjatywa mas. Miejscowy miner z dumą pokazuje przez okno szopy — ze względu na bezpieczeństwo nie możemy podejść bliżej — skład materiałów wybuchowych. Złożono tu istną górę prymitywnych bomb. Chłopi fabrykowali je napełniając metalowe rury

prochem własnego wyrobu i zaopatrując w lonty. Widzimy także miny z desek, na które nie reagują wykrywacze min. W szopie leży ponadto pokaźny stos materiałów wybuchowych pochodzenia amerykańskiego, jak świadczą napisy na blaszanych puszkach. Znajduje się tu również zabytek muzealny: drewniane działo zrobione z rury studziennej, ładowane prochem strzelniczym i kamieniami. Z taką bronią przystąpili chłopci do walki. Jej rezultatem było między innymi zdobycie nowiuteńkiego japońskiego miotacza min, który teraz stoi w kącie szopy.

Od razu staje się dla nas rzeczą jasną, że takie metody walki wówczas tylko prowadzą do celu, jeśli ludność ofiarnie pomaga partyzantom. We wsi Jentsung 90% mieszkańców pośrednio lub bezpośrednio brało udział w walkach. Łączność partyzantów z chłopami była nadzwyczaj ścisła. Wszyscy dowódcy jednostek walczących byli wybielani przez mieszkańców wsi. Tylko trzy rodziny bogaczy wiejskich stały na uboczu. Walką kierowała Partia Komunistyczna. Nic dziwnego, że zdobyła sobie całkowite zaufanie wieśniaków i że dzisiaj w niewielkiej wsi jest 46 komunistów i 64 członków Ligi Młodzieży.

Późną nocą wracamy do Paoting. Mijamy rozproszone na rozległej równinie milczące wioski, w których znalazły śmierć tysiące Japończyków i żołnierzy Kuomintangu. Mieszkańcy tych wiosek wiedzą, że ich kraj tak długo nie ma zapewnionego pokoju, dopóki zagraża Azji agresja imperializmu amerykańskiego. Są gotowi bronić pokoju i wolności swoich wiosek przed każdym nowym nieprzyjacielem z tą samą pomysłowością i ofiarnością, jaka ich ożywiła w dotychczasowych walkach. Nie ma na świecie potęgi zdolnej zwyciężyć przeszło 400 milionów chłopów chińskich. Morze wsi chińskich pochłonęłoby bez ratunku każdego nowego napastnika.

Sześciomilionowe miasto Szanghaj

Pociąg nasz przejeżdża po drodze do Szanghaju przez bogate prowincje Kiangsu i Anhwei. Ponad 40 godzin pędzi przez nizinę między rzekami Huang-he i Jangtse, które stanowią dla Chin jednocześnie źródło życia i klęsk. Całymi godzinami siedzę przy oknie i patrzę na przesuwane pola. Bezkresne równiny przechodzą stopniowo w kraj pagórków, miejsce purpurowej gleby zajmuje żółty „less”, zamiast bagien i rzek pojawiają się obszary jałowych piasków. Gęstość zaludnienia jest tu nadzwyczaj wielka, wsie leżą jedna przy drugiej. Na polach również pełno ludzi, którzy brodzą po stojących pod wodą polach ryżowych i wloką ogromne ciężary albo drepczą w wielkich bambusowych kołach urządzeń nawadniających.

Dostaliśmy się na teren, na którym nie przeprowadzono dotąd reformy rolnej. Objęła ona na razie tylko dawno wyzwolone tereny, czyli Chiny Północno-Wschodnie i część Chin Północnych, zamieszkałe przez 150 milionów chłopów. Tu, w Chinach Wschodnich i dalej na południu, na obszarach zamieszkałych przez przeszło 270 milionów chłopów, panuje jeszcze

na wsi feudalizm. Nie rządzi już oczywiście absolutnie, gdyż zwycięstwa Armii Ludowej wydarły władzę w państwie z rąk wielkich obszarników i kapitału biurokratycznego. Chłopi zorganizowali się wszędzie i przeprowadzili obniżenie czynszu dzierżawnego z 70 lub nawet 80% plonów do połowy lub jednej trzeciej. Ale duża część ziemi wciąż jeszcze pozostaje w rękach nieznaczej liczby pasożytów.

Reforma rolna

Przesuwające się za oknami pociągu pola są najczęściej maleńkie. Przeciętna działka jednorodzinna nie przekracza wielkości średniej sali kinowej. Chłopi są więc zmuszeni do wyciskania z ziemi wszystkiego, co się da. Nie ma tu w ogóle uprawy roli w naszym rozumieniu. Tę intensywną, skrupulatną, wyzyskującą każdą piędź ziemi uprawę można raczej przyrównać do ogrodnictwa. Wyzyskano pod nią nawet stoki pagórków, na których półka biegną terasami. Wioski na tych obszarach robią wrażenie znacznie biedniejszych niż w innych prowincjach, przez które dotąd przejeżdżaliśmy. Również ubiór ludności jest bez porównania uboższy. Najwyższy czas wydrzeć obszarnikom ziemię; chłopi przygotowują się właśnie do wielkiej walki o to. Zgodnie z ustawą Centralnego Rządu Ludowego o reformie rolnej — na terenach Chin Wschodnich, przez które właśnie przejeżdżamy, reforma rolna ma być przeprowadzona w zimie 1950/51 r. Sto milionów chłopów uzyska przydział ziemi. Żniwa w 1951 r. będą przeprowadzone przez chłopów na tym obszarze już prawie całkowicie na własnych gruntach. Przystarzały, zgniły system runie i zastąpi go nowy ład ludzi pracy. Rewolucja ta będzie jednocześnie „odgórna i oddolna.” Mało i średnio-rolni chłopi, zorganizowani w związkach chłopskich, staną się organem przeprowadzającym ustawę, która głosi, że „Ziemia należy tylko do tego, kto ją sam uprawia”. Państwo, Partia i klasa robotnicza pomogą oczywiście chłopom w walce o ziemię.

Zwiedziliśmy już wiele szkół, w których kształcą się młodych, inteligentnych ludzi na półrocznych kursach na specjalistów w przeprowadzaniu reformy rolnej. Jeszcze w tym miesiącu 300 000 młodych rewolucjonistów ma wyruszyć na wieś, aby pomóc chłopom w walce z terrorem i złą wolą obszarników. Na pozostałych obszarach, zamieszkałych przez 170 milionów chłopów, przeprowadzi się reformę rolną w ciągu najbliższej zimy, na terytoriach mniejszości narodowych — jeszcze później. Rząd Ludowy rozłożył tę akcję w czasie ze względu na różny rozwój uświadczenia politycznego wsi, które wobec stopniowego wyzwalańia kraju nie wszędzie jednakowo postąpiło. Przeprowadzenie reformy rolnej umożliwi pokonanie raz na zawsze głodu na wsi, umożliwi podniesienie stopy życiowej chłopca i nasycenie wsi produktami przemysłowymi. Dzięki niej powstanie potężny rynek zbytu dla rozrastającego się przemysłu, a ostatnie podpory przeszłości — wielcy obszarnicy stracą grunt pod nogami.

Zatrzymujemy się w małej miejscinie Hsuczau. Nagie wulkaniczne pagórki otaczają śpiące miasteczko. Zimą 1948—49 r. rozegrały się w tym małym węźle kolejowym i jego pagórkowatej okolicy wydarzenia, które zmieniły bieg dziejów świata. Armii Ludowej udało się otoczyć pod Hsucz-iu i Weihai główne siły cofających się na rzekę Jangtse wojsk Czang Kai-szeka i zniszczyć 68 dywizji liczących ponad 800 000 ludzi. W tej bitwie myśl strategiczna dowództwa i duch Armii Ludowo-Wyzwoleńczej pokonały reakcyjną strategię i zdemoralizowane bandy Czang Kai-szeka. W kotle pod Hsuczau zdobyto 1 700 amerykańskich czołgów i samochodów ciężarowych jak również ponad 6 000 dział, nie licząc zniszczonych. Armia Ludowa dała dowód, że jest zdolna przeprowadzić w wojnie pozycyjnej nadzwyczaj ciężką bitwę niszczącą, zakończoną całkowitym zdruzgotaniem sił nieprzyjacielskich. Na polu walki pod Hsuczau rozstrzygnął się los Chin. Armie Kuomintangu nigdy już nie zdołały podnieść się po tej klęsce. Bitwa ta umożliwiła Armii Ludowej bohaterkie sforsowanie rzeki Jangtse.

Ilu ludzi w Europie słyszało kiedykolwiek w życiu o Hsuczau? A przecież tam dokonało się jedno z decydujących zdarzeń w historii świata.

Dopiero o zmierzchu dotarliśmy do legendarnego Jangtse-kiangu i mogliśmy ocenić szerokość rzeki tylko według maleńkich światełek Nankinu leżącego na przeciwległym brzegu. Pociąg wjechał na olbrzymi prom parowy, który przecinał groźnie bełkocące czarne fale rzeki. Półtora roku temu dziesiątki tysięcy łodzi i dżonek Armii Ludowej sforsowało Jangtse-kiang na szerokości ponad 500 kilometrów, aby rozbić bandy Kuomintangu na ostatnim skrawku chińskiego lądu. Również to sforsowanie rzeki przeszło do historii.

Gdy wiozący delegatów prom zmierzał powoli ku dalekim światłom Nankinu, myśli nasze krążyły wokoło bohaterów Armii Ludowo-Wyzwoleńczej.

Okręty wojenne i kulisi

Szanghaj, sześciomilionowe miasto, leży u ujścia rzeki Jangtse. Stąd europejcy i zamorscy władcy kolonialni przez sto lat z górą usiłowali przygnieść swą ciężką stopą Chinę i zamienić kraj w kolonię. Tu próbowały szczęścia dziesiątki tysięcy misjonarzy, specjalistów wojskowych, bankierów i rozmaitych awanturników. Całe stulecie rabunku, gwałtów, wymuszeń i „pobożnego” oszustwa ożywa w pamięci, gdy jedziemy wzdłuż Bundu, znanej na całym świecie reprezentacyjnej ulicy Szanghaju. Po jednej stronie ciągną się bez końca nabrzeża i urządzenia portowe, w których ładowano bogactwa Chin na obce statki. Przy nich dawniej zarzucały kotwice zagraniczne okręty wojenne, by przeciw Chinom kierować wyloty dział. Po drugiej stronie ulicy wznoszą się pretensjonalne, pozbawione smaku drapacze chmur. Jeszcze przed kilku miesiącami w ciągu jednej nocy zdobywano i trwoniono w nich miliony. Były to oczywiście miliony wyciśnięte z potu i krwi chińskich chłopów i

kulisów. Jeszcze dzisiaj można ujrzeć obok drapaczy chmur dzielnicę nędzy, a na kanałach łódzie mieszkalne, stanowiące przedtem mieszkania ofiar imperializmu, po części zaś nawet i dziś przez nie zamieszkałe. Jest to spuścizna, z którą nowy rząd ludowy długo jeszcze będzie się porał.

Naszą kwaterą jest tym razem ultranowoczesny, luksusowy hotel w wielopiętrowym drapaczu chmur, Broadway Mansion House. Należał on dawniej do pana Kung, członka osławionych „czterech rodzin”, które sprawowały rządy w Chinach kuomintangowskich. a spokrewnione były z amerykańskim kapitałem monopolistycznym. Lud uważa dzisiaj tych pasożytów za przestępców wojennych i nie wymawia ich nazwisk bez splunięcia. Z luksusowego hotelu, w którym mieszkamy, korzystała poprzednio „śmietanka towarzyska”. Obecnie służy potrzebom ludu. Kilka dolnych pięter służy za pomieszczenie licznym żołnierzom Armii Ludowej, którzy przybyli na uroczystości 1 października, a teraz czekają na powrót do swoich garnizonów. Cały szereg pokoi jest zajętych przez delegatów chłopskich i robotniczych, którzy przyjechali na konferencję. Hotel jest poza tym przeznaczony dla zaproszonych gości zagranicznych, jak na przykład dla naszej delegacji.

Z mojego okna na siódmym piętrze wzrok ogarnia swobodnie sześciomilionowe miasto, którego granice nikną w oparach mgły i dymu fabrycznego. Na wprost widać ruchliwy port, dalej rząd drapaczy chmur Bundu. W dole tuż u stóp ciągnie się ukosem pas wypielęgnowanego trawnika. W pobliżu widać rozproszone niskie budynki, a wśród nich wysoki maszt, z którego zwisa bezwładnie flaga brytyjska — to kompleks zabudowań byłej ambasady angielskiej. Jeżeli się przyjrzeć dokładnie, można zauważyć zwoje drutu kolczastego, którym są otoczone mury posiadłości. U stóp hotelu przepływa ruch handlowy miasta po stalowym moście, przerzuconym nad szerokim, brudnym kanałem, na którym jest zakotwiczonych kilkaset łodzi mieszkalnych.

W Szanghaju jest wyjątkowo dużo ryksz. Miasto rozporządza jeszcze zbyt szczupłym taborem komunikacyjnym, by móc zrezygnować z tych smutnych pozostałości systemu kolonialnego. Wprawdzie nie widuje się już prawie ryksz ciągniętych przez kulisów-biegaczy, bo przeważają pojazdy japońskie, składające się z roweru i przyczepki. Jednakże pojazdy wciąż jeszcze stanowią własność grupy przedsiębiorców, którzy je odnajmują kulisom. Kulisi za sprawą Partii Komunistycznej zorganizowali się już w związki zawodowe dążące do ukrócenia bezgranicznego wyzysku swych członków przez przedsiębiorców. Jeśli wziąć pod uwagę okoliczność, że Szanghaj został wyzwolony dopiero w maju 1949 r. i że władza ludu w tej metropolii jest bardzo młoda, trzeba przyznać, że związki zawodowe wiele już osiągnęły. Ostateczne rozwiązanie problemu kulisów, jak wiele innych kwestii w Chinach, zależy od uprzemysłowienia kraju, a więc w tym wypadku od zaopatrzenia miasta w dostateczną ilość samochodów i tramwajów.

Interesujące są ogromne różnice, jakie zachodzą w każdej niemal dziedzinie pomiędzy terenami „dawniej wyzwolonymi” na północnym wschodzie i północy, a terenami „nowowyzwolonymi”, do których teraz przybyliśmy. W Charbinie, Czangczunie, Mukdenie, Dalnij widzimy ryksze bardzo rzadko. W Pekinie było ich już więcej. W Szanghaju nadają swoisty charakter ulicy. Zupełnie tak samo dzieje się z odbudową fabryk, która na północy doprowadziła do uruchomienia większości obiektów przemysłowych, podczas gdy tutaj widać jeszcze gdzieś tam beznadziejne szkielety spalonych wsi i zburzonych fabryk. Także stopa życiowa ludności, jeśli ją oceniać według odzieży (z pominięciem szanghajskich paskarzy i prawie pięćdziesięciu tysięcy mieszkających tu jeszcze cudzoziemców) jest na terenach nowowyzwolonych znacznie niższa niż na północnym wschodzie i północy. Nasza delegacja przejeżdżając Chiny z północy na południe cofała się niejako z przyszłości w przeszłość. Różnice między tymi terenami są tym bardziej zdumiewające, że rządy ludowe na północy i północnym wschodzie dzięki wcześniejszemu oswobodzeniu zyskały na czasie zaledwie rok lub półtora roku.

Opera pekińska

Późnym wieczorem udajemy się do miejskiego teatru w Szanghaju, który wystawia opery pekińskie w tradycyjnym stylu. Podnosi się kurtyna. W kącie sceny — prostej i bez dekoracji — zajmuje miejsce orkiestra. Przeważają w niej instrumenty perkusyjne — kotły, bębny, talerze. Prócz tego w skład orkiestry wchodzi skrzypce chińskie o dwóch strunach, rodzaj organków piszczałkowych, i instrumenty przypominające klarnet o bardzo wysokim tonie. Muzyka brzmi dla naszego ucha obco, tak pod względem melodii jak i rytmu.

Grają prastarą sztukę dworską „Pijana metresa cesarska”. Bohaterka wychodzi na scenę drobnym krokiem. Ma na sobie przepysznie haftowany strój jedwabny, którego rękawy długimi jedwabnymi mankietami zakrywają ręce. Jest w dziwny sposób uszminkowana: czoło i nos pozostały zupełnie białe, a powieki i policzki aż do brody są zabarwione intensywną czerwienią. Nadaje to twarzy wyraz martwoty i skostnienia i upodabnia ją do woskowej maski. Mała Liu zaczyna się uskarżać na swój los silnie modulowanym, dziecięcym głosem. Żali się, że cesarz inną obdarzył swą łaską. Śpiew ilustrują powściągliwe kroki taneczne i oszczędne gesty, wywodzące się widocznie z prastarej symboliki, a wyczelowane nawet w najdrobniejszych szczegółach. Przez całą godzinę rozwija się temat: „Na frasunek dobry trunek”. Liu niby to wzbrania się, a jednocześnie łapczywie bierze z rąk swego sługi jedną filiżankę wina ryżowego po drugiej. Rzadko widuje się podobnie mistrzowską mimikę jak wtedy, gdy Liu zaczyna szumieć alkohol w głowie, gdy opiera się i wzdraga, potem jednak pozwala sobie na jeszcze jedną szklaneczkę.

Publiczność, która przybyła na galowe przedstawienie, śledzi przebieg akcji na scenie ze zrozumieniem i uwagą. Widzowie nagradzają oklaskami finezję gry, której my, cudzoziemcy, nie jesteśmy w stanie ocenić. Odnosi się wrażenie, że kultura teatralna w Chinach osiągnęła stopień wysubtelnienia formy, który stawia wysokie wymagania nie tylko artystom, ale także widzom.

Tematem następnej, poważnej już sztuki są wydarzenia z czasów powstania Taipingów. Ukazano w niej w tradycyjnej formie walkę postępu z reakcją oraz przeprowadzono krytykę dawnych despotycznych, skostniałych w rutynie, uwarkoczowanych urzędników. W tej sztuce zaznacza się szczególnie wyraźnie różnica między operą chińską a europejską. Operę chińską można by raczej określić jako akrobatyczną pantonimę o podkładzie muzycznym. Bardzo interesujące jest obywanie się bez dekoracji, które widz musi uzupełnić wyobraźnią i stosowanie wielu symboli, których znaczenie musi rozumieć. Konia na przykład symbolizuje kij przybrany wstążkami, zdobycie miasta przedstawia się w ten sposób, że bohater dokonuje bajecznego skoku przez jedwabną chustkę, którą trzyma dwóch posługaczy teatralnych. Akrobatyczne popisy artystów w scenach tanecznych i bojowych są wprost fantastyczne. W momentach najwyższego napięcia około dwudziestu aktorów w ciężkich jedwabnych szatach wpada akrobatycznymi skokami na scenę i zaczyna walczyć z sobą na miecze, lance i halabardy, aż iskry lecą. Każdy artysta musi być świetnym akrobatą i tancerzem. Ruchy i gesty w scenach walki i tańca sięgają widocznie prastarej tradycji. Można sobie bez trudu wyobrazić publiczność teatralną z okresu powstania tych oper: dwór cesarski oraz sytych i rozleniwionych obszarników, którzy łupili lud chiński do ostatniej koszuli, a sami żyli w niewypowiedzianym przepychu. W przerwach między bankietami mogli rozkoszować się akrobatyką tancerzy i dekadenco-psychologicznymi scenami z życia dworskiego.

Naturalnie pragnęlibyśmy bardzo dowiedzieć się, jaki jest stosunek młodych, dzisiejszych Chińczyków do sztuk feudalnych tego typu. Tłumacze zapewniają nas, że widzowie uświadamiają sobie reakcyjną często treść tradycyjnej opery chińskiej, ale dalecy są od potępiania w czambuł jej formy. W nowych Chinach przyjęto leninowską teorię kultury, która żąda przyjęcia, krytycznego opracowania i dalszego rozwijania klasycznego dziedzictwa przeszłości. Jednakże Chiny znajdują się obecnie w stadium polityczno-ekonomiczno-kulturalnego przewrotu na olbrzymią skalę. Inteligencja chińska współdziała ze wszystkich sił w dokonywaniu tego przewrotu, toteż niewiele czasu pozostaje jej na sumienną, krytyczną analizę klasycznego dziedzictwa. Wobec tego udziela się na razie wielkim trupom artystów tradycyjnej opery wysokich państwowych subwencji odkładając gruntowne przemiany na tym odcinku kulturalnym na czas późniejszy. Oczywiście jest już dzisiaj rzeczą jasną, że należy dążyć do tego, by zatrzymując narodową formę sztuki wlać w nią nową treść społeczną.

Sądzę jednak, że linia rozwojowa chińskiej opery nie powinna prowadzić przez odnawianie przeżytych form. Z życia robotników i chłopów, z blisko trzydziestoletniej walki o wyzwolenie chińskiego ludu wyrosły już nowe formy sztuki, obok których wznowione formy klasyczne powinny odgrywać jedynie podrzędną rolę. Przede wszystkim mam na myśli nową operę, znaną mi z kilku przedstawień, między innymi w Cicikarze. Interesujący jest przeskok w jej tematyce. Bohaterami dawnej opery byli przedstawiciele górnych sfer społeczeństwa feudalnego. W nowej zajęli ich miejsce — z pominięciem mieszczaństwa — przedstawiciele ludu: chłopci, robotnicy, żołnierze, studenci. Zamiast sztywnych, ceremonialnych figur i gestów klasycznej opery wprowadzono naturalne ruchy tańca ludowego (przede wszystkim jangko), a sztuczną koloraturę zastąpiono melodiami pieśni ludowych i robotniczych. Lud sam wstąpił w nowej operze na scenę, by w tańcu i śpiewie wyrażać swoje własne życie.

Uniwersytety w służbie ludu

Zwiedziliśmy już kilka uniwersytetów i zrozumieliśmy, że chińscy studenci stanowią jedną z decydujących sił ruchu rewolucyjnego. Już w maju 1919 r., a więc przed powstaniem Partii Komunistycznej, spośród słuchaczy i wielu profesorów uniwersytetu w Pekinie wyszedł potężny studencki ruch rewolucyjny. Z szeregów walczących studentów-patriotów wyrosli najwybitniejsi przywódcy Komunistycznej Partii Chin, jak Mao Tse-tung i Zhou Enlai. Studenci stanowili przez 30 lat wraz z robotnikami i chłopami awangardę chińskiej walki o wolność z feudalnymi generałami, Japończykami i faszystowskim Kuomintangiem.

Dzisiaj mamy zwiedzić uniwersytet Tung Czi w Szanghaju. System feudalny uniemożliwiał w praktyce rozwój nauk, zwłaszcza nowoczesnych nauk przyrodniczych, wobec czego chińskie uniwersytety opierają się przeważnie na literaturze zagranicznej, najczęściej angielskiej. W ostatnich czasach zaczyna się w Mandżurii wprowadzać także dzieła rosyjskie.

Uniwersytet Tung Czi został założony przed 40 laty przez niemieckiego lekarza i od tego czasu język niemiecki jest jego językiem naukowym. Profesorowie odbywali studia przeważnie w Niemczech. Tak na przykład profesor Li, dziekan wydziału technicznego, który siedzi obok mnie w aucie i wiezie nas do uniwersytetu, studiował w Darmstademie. Większość profesorów, z którymi zaznajomiliśmy się później, mówi płynnie po niemiecku, czasami zatracając berlińskim lub saskim dialektem.

Stoimy na balkonie nowoczesnego gmachu uniwersyteckiego. Pod nami, na dziedzińcu studenci grają w koszykówkę. Dalej ciągną się pola z małymi domkami chłopskimi. Na horyzoncie rysują się kontury Szanghaju. Sekretarz Koła Uniwersyteckiego Nowej Demokratycznej Ligi Młodzieży, energiczny i inteligentny student Sung, rozpostarł przed nami plan miasta. Niektóre obiekty oznaczono na nim czerwonymi chorągiewkami. Są to miejsca, w których 29 stycznia 1949 r. toczyły się główne walki studentów z żołnierzami

Kuomintangu. Te same punkty są zaznaczone w terenie wielkimi czerwonymi flagami, na przykład: zagroda wiejska, obok której studenci kilkakrotnie próbowali przebić się przez okrążających ich wrogów, i domek portiera uniwersytetu, w którym prowadzono układy z oficerami policji. Informuje nas o wszystkim Sung, ponieważ sam brał wtedy udział w walkach. Gdy opowiada o atakach wojska i policji na bezbronnych studentów, ręka jego wskazująca miejsce walk drży z oburzenia. Błyszczące oczy gromadki studentów mówią o tym, iż dumni są ze wspaniałych tradycji swego uniwersytetu, który przez walki w styczniu 1949 r. wziął zaszczytny udział w wielkim ruchu rewolucyjnym studentów chińskich.

Studenci walczą

Zaczęło się od wzrastającego wrzenia wśród profesorów i studentów uniwersytetu Tung Czi. Armia Ludowa podchodziła coraz bliżej. Na północ od rzeki Jangtse pod Waihei rozbiła główne siły Kuomintangu. W Szanghaju terror wzrastał się tym bardziej, im szybciej parła naprzód Armia Ludowo-Wyzwoleńcza. W mieście zapanował głód. Studenci zorganizowali społeczną akcję dobroczynną celem niesienia pomocy najciężej dotkniętym klęską. Kuomintang zawiesił działalność tej organizacji i zamierzał uwięzić obu jej kierowników. W odpowiedzi na to odbyła się demonstracja protestacyjna na dziedzińcu uniwersytetu, właśnie pod balkonem, na którym teraz stoimy. W nocy na rozkaz prezydenta Szanghaju 20 000 żołnierzy i policjantów otoczyło gmach uniwersytetu. O świcie studenci usiłują się przebić przez łańcuch żołnierzy. Ot tam, na skraju pola, obok chłopskiej chaty, z wyrwanymi z płotu deskami i kamieniami w ręku atakują żołnierzy, którzy siedząc na japońskich koniach płazują ich japońskimi szablami i strzelają z amerykańskich automatów. Żołdacy tratuja studentów — ponad 40 ciężko rannych tarza się we własnej krwi. Pozostali cofają się do auli, policjanci i żołnierze wdzierają się za nimi, żądają wydania komunistów. Wybrany przez studentów parlamentarzysta odpowiada: „Wspólnie pracowaliśmy, głodowaliśmy i walczyliśmy, jesteśmy też gotowi raczej wspólnie umrzeć, niż wydać naszych kolegów!” Wieczorem żołnierze wdzierają się do auli, masakrują obecnych i samowolnie zatrzymują 100 studentów jako zakładników. Kilku rezolutnym młodzieńcom udaje się dotrzeć do stacji transformatorów i spowodować krótkie spięcie. Ponad 100 studentów pod osłoną ciemności i dzięki powstałemu w auli zamieszaniu przerywa kordon policji, wydobywa się na wolność i maszerując po nocach dociera wreszcie do Armii Wyzwoleńczej. W trzy miesiące później ci sami studenci wkraczają z czołówkami swej armii do Szanghaju i pomagają toczącym walki uliczne robotnikom uwolnić miasto i uniwersytet od faszystów kuomintangowskich.

Uniwersytet Tung Czi, podobnie jak znaczna większość innych chińskich uniwersytetów, nie pierwszy już raz był widownią rewolucyjnych wydarzeń. Swego czasu imperialiści francuscy nakazali go zamknąć, a Japończycy zburzyli budynki uniwersyteckie aż do fundamentów.

Tung Czi był sześć razy ewakuowany i wędrował wiele tysięcy kilometrów przez Chiny Południowe i Zachodnie. Aparaty i urządzenia ulegały przy tym zniszczeniu, ale praca uczelni nie ustawała. Na miejsce profesorów i studentów, którzy musieli ją opuścić, przychodzili nowi. Rewolucyjna patriotyczna postawa i umiłowanie wiedzy sprawiły, że zarówno studenci jak i profesorowie stali się zdolni do bohaterskich poświęceń dla dobra swej uczelni. Tung Czi po istnej odysei przez Chiny stał się znowu ośrodkiem badań naukowych i kształcenia studentów. Oczywiście, brak dotychczas wielu instrumentów i urządzeń, ale warsztaty studenckie przy wydziale technicznym przystąpiły już do ich wykonania. Gdy weszliśmy do jednej z sal warsztatowych, wrzała w niej właśnie praca nad rekonstrukcją maszyny do badania materiałów. Brakujące części składowe wykuwali i toczyli sami studenci. Biblioteka studencka jest dobrze zaopatrzona w dzieła treści przyrodniczej, przeważnie w języku niemieckim.

W czasie uciążliwych wędrówek, spowodowanych kilkakrotną ewakuacją uniwersytetu, profesorzy i studenci setki kilometrów dźwigali na swych barkach wartościowe książki i nieraz pozbywali się własności osobistej, byle tylko nie porzucić na pastwę losu dzieł stanowiących podstawę studiów.

Rząd Ludowy stara się stworzyć studentom takie warunki egzystencji, które by im umożliwiły wyłączne poświęcenie się studiom. W uniwersytecie Tung Czi, podobnie jak we wszystkich innych uczelniach, które zwiedziliśmy, studia są oczywiście bezpłatne. Co więcej — studenci mają zapewnione utrzymanie na koszt państwa i pomieszczenie w schludnych domach akademickich. Rzecz jasna, że warunki materialne młodzieży są na razie jeszcze skromne. Dzieci robotników i chłopów, które nieraz przybywają na uniwersytet zupełnie bez środków do życia, otrzymują bezpłatnie ubranie składające się z gumowych pantofli i niebieskiego kombinezonu roboczego. Ten — w naszym pojęciu zbyt prosty — ubiór jest znacznie lepszy od dawnej odzieży mas ludowych w Chinach. Ponadto studenci uświadamiają sobie jasno, że od nich, tj. od młodej inteligencji Chin, zależy szybkie uprzemysłowienie kraju, a wraz z nim podniesienie stopy życiowej ludności.

Twierdza rewolucji

Jest rzeczą naturalną, że studenci chińscy, wychowani na gorzkich doświadczeniach wojny domowej, stanowią poważną rezerwę sił rewolucyjnych. Na 1 500 studentów uniwersytetu Tung Czi więcej niż połowa należy do Partii Komunistycznej lub do Ligi Młodzieży. Często są to studenci starszych semestrów, którzy nieraz pięć lub dziesięć lat spędzili w partyzantce lub w szeregach Armii Ludowej i teraz wnieśli do życia uniwersyteckiego ducha walki i samopoświęcenia. Są oni przodownikami i świecą przykładem innym zarówno w studiach jak i w dziele odbudowy uniwersytetu. Traktują studia jako dalszy ciąg walki o Chiny i

własnym przykładem porywają za sobą młodszych kolegów. Wywierają też decydujący wpływ na uchwały senatu akademickiego za pośrednictwem wybranych przez siebie przedstawicieli. Dzięki tak daleko sięgającej demokratyzacji życia na uniwersytetach aż do obecnej chwili przetrwała i nadal zacieśnia się między profesorami i studentami więź wspólnoty studiów i walki, zadziergnięta w ciężkich czasach wojny domowej.

Oblicze faszyzmu

Wystawa fotografii i dokumentów z czasów wojny przekonuje nas, że chiński faszyzm nie różni się od europejskiego w swych rysach zasadniczych — terrorze, korupcji, okrucieństwie, nienawiści do ludu. Najbardziej wstrząsające wrażenie wywierają zdjęcia pokazujące szanghajskiego bohatera ludowego Wang Szian-ho przed sądem wojennym i kilka minut przed straceniem. Młody robotnik elektrowni i komunista Wang w poczuciu wyższości śmieje się w twarz sędziom, którzy już drżą przed zbliżającą się armią wyzwoleńczą: „Mnie zabijecie, ale powstaną dziesiątki tysięcy i pomszczą moją śmierć”. Potem obraz, na widok którego powinni zdrzeć reakcyjniści całego świata — Wang w drodze na miejsce kaźni. Oto jak umiera komunista! Wyprostowany kroczy między młodymi bojaźliwymi chłopcami w amerykańskich mundurach, którzy go odprowadzają, nie wiedząc, co czynią. Wang nawet przed plutonem egzekucyjnym nie zaprzestało walki i woła na placu tak, że dreszcze przechodzą katów, a synowie chłopscy, przymusowo zaciągnięci do wojska, nadśledzają: „Chwile bezprawnego reżimu są policzone. Niech żyje komunizm, niech żyją Chiny!”

Miał słusność — rządy Kuomintangu wkrótce potem upadły, a komunizm żyje i Chiny żyją. Robotnik i komunista Wang zginął, ale dziesiątki tysięcy wstąpiły na jego miejsce i dalej prowadzą walkę. Nikt nie jest w stanie powstrzymać marszu postępu w Chinach!

Raj w niebie – Hangczau na ziemi

W pobliżu Szanghaju, w Hangczau, mieliśmy spędzić dwa dni dla wypoczynku. Był już czas trochę odpocząć, bo ubiegłe tygodnie, mimo komfortu, jaki nas otaczał, okazały się dosyć wyczerpujące. Zwiedziliśmy tuziny fabryk, wsi, uniwersytetów, rozmawialiśmy z czołowymi osobistościami, opracowywaliśmy długie sprawozdania, bywaliśmy na filmach i operach, braliśmy udział w olbrzymich masówkach młodzieży. Rozmowy pomiędzy delegatami toczyły się w trzech lub czterech językach. Byliśmy wciąż pochłonięci obserwacją, notowaniem nowych wrażeń, stawianiem pytań i wysłuchiowaniem odpowiedzi, i jeszcze raz obserwacją.

Sypialiśmy tylko dorywczo, więc tak my jak i nasi tłumacze, którzy dokonują olbrzymich wyczynów, mamy poważny niedobór snu. Hangczau ma być miejscem odprężenia. Stare chińskie przysłowie głosi: „Raj jest w niebie, a Hangczau na ziemi”. Prawdę mówi to przysłowie. Nie wiem, czy kiedykolwiek w życiu spotkam miejscowość, w której by się skupiło tyle tak różnorodnych uroków krajobrazu. Inni członkowie delegacji twierdzą to samo — Hangczau więc zyskuje sobie uznanie międzynarodowe. Mieli słuszną rację cesarze chińscy, że niekiedy wybierali Hangczau na rezydencję letnią. Nasz hotel służył dawniej za miejsce wypoczynku elicie systemu kuomintangowskiego.

Pawilon śniadaniowy, otoczony świeżą zielenią murawy i prastarymi karłowatymi drzewami, posiada kształt starej chińskiej pagody z otwartymi werandami i ciężkim dachem z glazurowanych dachówek. Taras wychodzi wprosi na Zachodnie Jezioro, perłę Hangczau. Tu gdzieś zapewne stał przed kilku wiekami wielki obieżyświat Marco Polo, który również z zachwytem wyrażał się o tej perle. W przejrzystej wodzie morza, po którego tafli płyną liczne barki, odbijają się marmurowe łuki mostów, sztuczne wyspy i prastare drzewa nadbrzeżne. Ciągące się po drugiej stronie grzbiety gór pokryte są soczystą zielenią bambusowego lasu, z którego wyłaniają się pagody i oryginalne architektonicznie świątynie.

Świątynia i szkoła kadr

Autobus wiezie nas do romantycznej doliny, o stromych skalistych zboczach, pokrytych gęstwą drzew. Wchodzimy do groty wśród skał, której ściany są pokryte napisami i rysunkami. Pośrodku jaskini króluje „Śmiejący się Budda” z Hangczau, oświetlony blaskiem światła dziennego, padającego z góry przez skalną szczelinę. Jego kult istnieje w tym zakątku podobno już ponad 1 500 lat. Niegdyś wierzono, że pielgrzymka do posągu usuwa bezpłodność kobiet. To cudowne działanie ustało, jak wieść niesie, wraz z odejściem grupy mnichów w inną okolicę. Na zewnątrz świątyni ciągnie się długi rząd kramów z dewocjonaliami. Handel obliczony jest głównie na cudzoziemców. Za kwotę równającą się 15 szylingom kupuję posążek „prawdziwego” chińskiego Buddy z terrakoty (na moje biurko w Wiedniu). Posążek ma tę zaletę, że jest rzeczywiście zrobiony w Chinach i — nawet wiernie — odtwarza oryginał, tj. słynnego „Śmiejącego się Buddę”.

Wstępujemy do olbrzymiej świątyni, której ciężki dach spoczywa na olbrzymich drewnianych kolumnach. We wnętrzu panuje półmrok, a w miedzianych czarach żarzą się pałeczki kadzidła. Płynie od nich gryząca, odurzająca woń. Z ołtarzy śmieją się szyderczo demoniczne gęby bożków. Wyraz ich tchnie obcością, ale koloryt jest swojski: rzeźby są tak samo polichromowane jak nasze drewniane posągi barokowe. Przy drzwiach biją pokłony dwaj wychudli mnisi. Zdaje się, że interes nie idzie zbyt dobrze. Na nasze zapytanie tłumacz odpowiada, że religie w Chinach już od dziesiątków lat nie mają większego znaczenia.

Egzystują dość zgodnie obok siebie, są rozproszone i często nawet niezbyt odgraniczone od siebie. Czasami w umysłach chłopów współżyje zgodnie kilka religii. Chińczyk ma silne poczucie rzeczywistości i od religii podobnie jak od lekarza żąda realnych wyników. Jeżeli modlitwa do jednego bóstwa nie przynosi upragnionego deszczu, proszący zwraca się z nią do innego boga. Jeżeli pielgrzymka do jednej świątyni zawiedzie, w następnym roku odwiedza się inną. W ten sposób dochodzi się ostatecznie do wniosku, że wszystkie bożki są nic nie warte. Profesor uniwersytetu pekińskiego Feng objaśnił mi, że w Chinach wśród szerokich mas panuje w gruncie rzeczy ateizm pomieszany z resztkami zachowanych jeszcze przesądów. Pewną rolę odgrywa katolicyzm z trzema może milionami wierzących i protestantyzm posiadający około trzech czwartych miliona wyznawców. Religie chrześcijańskie pozostawały dotąd pod silnym wpływem zagranicy, zwłaszcza zaś szkoły misyjne, uniwersytety, szpitale były przez nią finansowane. Rząd Ludowy stosuje politykę zupełnej swobody religijnej. Każdemu wolno wyznawać religię, która mu odpowiada, lub nie wyznawać żadnej. Wśród wyznawców chrześcijaństwa występują od dawna postępowe, patriotyczne nurty, mające na celu usunięcie polityki z organizacji religijnych. Temu oddolnemu naciskowi musiała się na przykład poddać hierarchia kościoła protestanckiego. Właśnie w czasie naszego pobytu w Szanghaju 1 500 wybitnych protestantów ogłosiło oświadczenie, w którym żądają lojalnego i patriotycznego, stosunku kościoła do państwa ludowego, wygłaszania kazań w języku chińskim i zrzeczenia się subwencji zagranicznych.

Niespełna 50 metrów od starej świątyni wznoszą się budynki szkoły kadr reformy rolnej. Kilka tysięcy młodych chłopców i dziewcząt kształci się w niej na pomocników w przeprowadzaniu reformy. Z mieszkającymi w najbliższym sąsiedztwie mnichami nie dochodzi do zatargów, ponieważ młodzi ludzie szanują religię jako sprawę prywatną. Są zresztą przekonani, że wraz z nędzą i głodem zniknie pożywka najbardziej sprzyjająca pasożytnictwu mnichów w Chinach. Nie mają też zamiaru toczyć walki z oficjalnymi reprezentantami religii i razić uczuć ludzi wierzących.

Tysiąc lat miłości i nienawiści

W precudnym gaju stoi świątynia wzniesiona ku uczczeniu pamięci generała Jo Feli. Generał ten przed przeszło 900 laty bohatersko odpierał wdzierających się Mongołów. Dziś jeszcze Chińczycy czczą w nim bohatera narodowego, toteż grono nabożnych często wznosi modły przed posągami generała i członków jego rodziny.

Z płonących pałeczek kadzidła unoszą się szarobłękitne obłoki wonnego dymu ku stropowi mrocznej świątyni, skąd patrzą w dół srogie oczy generała. Przed świątynią umieszczono figury jego ulubionych zwierząt wykute w kamieniu. Znajduje się tu także pień jego ulubionego drzewa. Podanie głosi, że wyróżniane przez generała zwierzęta i drzewo miały

zginąć bezpośrednio po jego zamordowaniu. Morderstwo popełniło dwóch łotrów na rozkaz cesarza. Obydwaj skrytobójcy klęczą po dziś dzień przed świątynią w postaci dwóch z grubsza ociosanych figur z brązu. Nienawiść do nich nie wygasła w przeciągu 900 lat po zbrodni. Wielu Chińczyków przechodząc koło figur morderców spluwa na nie lub wali kijem w czaszki z brązu. Widok oplutych figur nie jest apetyczny, ale wskazuje w sposób drastyczny, jak silnie jest rozwinięta w Chińczykach pamięć dziejowa.

Nie zaszkodziłoby i innym narodom, gdyby z podobnym uczuciem wdzięczności wspominały swoich bohaterów i z podobną nienawiścią odnosiły się do łotrów i zbrodniarzy.

Armia Ludowa

Jeszcze półtora roku temu Nankin był główną ostoją tasyzmu kuomintangowskiego, a przedtem siedzibą japońskiego rządu marionetkowego Wang Czing-weia. Metropolia ta liczy prawie półtora miliona mieszkańców.

Idąc od dworca przekraczamy potężne mury miejskie. Mają one 34 kilometry długości i zostały zbudowane „na wieczne czasy” przez jednego z cesarzy z dynastii Ming przed 600 laty. W porównaniu z Szanghajem Nankin sprawia wrażenie prowincji. Ulice są rozkopane — zakłada się rury kanalizacyjne i asfaltuje jezdnie.

Towarzyszący nam wiceburmistrz zwierza się z trudności, jakie napotyka młody ludowy zarząd miasta. Kuomintang interesował się jedynie budowlami rządowymi i luksusowymi willami swoich dostojników, nie troszczył się zaś o przeprowadzenie kanalizacji czy też o bruki ulic. Wszystko robiło się na pokaz. Istniała fabryka wyposażona w najnowocześniejsze amerykańskie maszyny, zwiedzana prawie co tygodnia przez różnych dostojników, która w rzeczywistości nic nie produkowała. Nawet budowle przyległe do rezydencji Czanga znaleziono po wyzwoleniu w stanie zupełnego zaniedbania. Czang nie interesował się tymi budynkami i nigdy do nich nie zachodził, wobec czego pieniądze przeznaczone na utrzymywanie ich w należyty porządku znikwały w przepaści nienasyconej korupcji. Poza tym system Kuomintangu pozostawił ogromną ilość ciężkich do rozwiązania problemów.

Oblicze socjalne Nankinu, zgodnie z charakterem tego środowiska darmozjadów i konsumentów, było odmienne od oblicza innych miast. Prawie 100 000 ludzi obsługiwało ponad 40 000 wyższych urzędników, a ponad 120 000 członków terrorystycznych organizacji faszystowskich czuwało nad bezpieczeństwem dygnitarzy. Przeciwwagę ich stanowiło zaledwie 200 000 robotników przemysłowych i 370 000 bezrobotnych.

Przed rządem ludowym stanęło teraz zadanie przekształcenia miasta konsumpcyjnego w centrum produkcji. Opierającemu się na klasie robotniczej rządowi udało się w ciągu półtora

roku od wyzwolenia osiągnąć wspaniałe wyniki. Jednakże wiele jeszcze pozostaje do zrobienia, aby oczyścić pozostawioną przez Kuomintang stajnię Augiasza.

W jaskini szakala

Zwiedzamy byłą rezydencję Czang Kai-szeka. Wspaniałe pałace, dziedzińce i krużganki siedziby rządu kuomintangowskiego są na razie zamienione w pewnego rodzaju muzeum.

Z ciekawością wchodzimy do gabinetu Czanga. Tutaj ambitny dyktator układał plany ujarznienia ludu chińskiego. Tu przeprowadzał wyprzedaż Chin na rzecz Wall Street. Gabinet generała w przeciwieństwie do jego luksusowej siedziby prywatnej, którą oglądaliśmy przed południem, wygląda skromnie. Czang był przecież reprezentantem swoiście pojętej „partii ludowej”. Sznury ogradzające wyściełane meble chronią owe muzealne zabytki przed możliwością ich używania. Biurko pozostało w tym samym stanie, w jakim było w dniu ucieczki Czanga z Nankinu przed Armią Ludową. Stoi na nim czerwona pekińska waza z laki, prawdopodobnie służąca za popielniczkę. Obok papieru listowego z wydrukowanym olbrzymimi czerwonymi literami nagłówkiem leżą pędzle i tusze — to osobisty papier niedoszłego władcy narodów. Obok telefon i kalendarz biurkowy. Liczne notatki w tym kalendarzu urywają się z dniem 22 kwietnia 1949 r. Nieskazitelną białością lśni karta 23 kwietnia. Tego dnia Nankin został zdobyty przez Armię Ludową. Na ścianie wisi naturalnej wielkości portret generalissimusa. Prawie łysa głowa z przymrużonymi oczami kontrastuje z mundurem, którego przepych przewyższa największą fantazję. Trudno sobie wyobrazić bardziej uderzające przeciwieństwo niż to, jakie zachodzi między arogancką, fanatyczną fizjognomią i ociekającym złotem mundurem Czanga a pełnym dobroci i skromności obliczem Mao Tse-tunga, który nosi prosty strój chińskiego ludu. Rozhisteryzowany pożeracz komunistów tak samo reprezentuje swoją klasę i jej los, jak Mao Tse-tung — geniusz i zwycięstwo ludu chińskiego.

Tylko z trudem odrywam się od podobizny Czianga, ponieważ obserwacja jego portretu pozwala człowiekowi wiele zrozumieć. Jediną zmianą, której dokonała władza ludowa na tym portrecie swego śmiertelnego wroga jest mała tabliczka pod obrazem z napisem: „Zbrodniarz wojenny Czang Kai-szek”.

Mord

Tuż przed bramą miejską na wschodnim skraju Nankinu wznoszą się nagie pagórki i rozległe żwirownie. Na ich dnie rośnie zadziwiająco bujna trawa. Poprzez pagórki i wądoły ciągną się bezkresne szeregi małych kopczyków piaskowych. Ciężkie, zasnuwane oparem tropikalne niebo nadaje krajobrazowi wygląd posępny i widmowy.

Stoimy nad mogiłami ponad 200 000 chińskich patriotów, zamordowanych tu na rozkaz Czanga. Chłop mieszkający opodal w ubogiej chacie opowiada, że w miejscu tym przez całe lata dzień po dniu trzaskały salwy plutonów egzekucyjnych. Niezliczone kopce piasku oznaczają miejsca, w których pogrzebano ofiary. Soczysta trawa na dnie piaskami rośnie na glebie użyźnionej krwią rozstrzelanych. Chłop opowiada jeszcze, że egzekucje odbywały się publicznie. W ten sposób faszyzm kuomintangowski chciał zastraszyć naród i grozą śmierci zdławić każdą myśl o buncie. Większość skazańców poświęcała ostatnie chwile życia na to, aby narodowi i jego katom przekazać słowa prawdy. Tysiące komunistów umierało z okrzykiem: „My zginiemy, ale po nas przyjdą dziesiątki tysięcy i pomszczą naszą śmierć! Niech żyje komunizm!” Później kaci ucinali skazańcom języki lub prowadzili ich na miejsce stracenia z zakneblowanymi ustami, by uniemożliwić ofiarom triumf przedśmiertnego wyznania.

Na tym przejmującym zgrozą miejscu, które dziś jeszcze stoi pustką, ma być zbudowany monumentalny pomnik dla uczczenia pamięci najlepszych synów chińskiego narodu.

Niezwykła armia

Wieczorem przebywamy w otoczeniu ludzi, którzy dokonali sądu nad bandytami Kuomintangu, tj. wśród żołnierzy i oficerów Armii Ludowej. Nie sposób wyobrazić sobie dzisiejsze Chiny bez żółtobrunatnych skromnych mundurów żołnierzy Armii Wyzwoleńczej. Widzi się je we wszystkich wielkich miastach, a nawet w małych miejscowościach. Siłę liczebną Armii Ludowej ocenia się na przeszło pięć milionów ludzi. Wszyscy żołnierze i oficerowie mają proste mundury, które od kombinezonów robotników fabrycznych różnią się jedynie maleńką tarczą na piersi z napisem: „Chińska Armia Ludowo-Wyzwoleńcza”. Oficerowie nie noszą żadnych dystynkcji, a najczęściej również żadnych orderów. Naczelnego wodza Czu Teh można poznać jedynie po rysach twarzy, ponieważ nie odróżnia się od żołnierzy swej armii żadnymi zewnętrznymi odznakami.

„W przyszłości — objaśniał mnie w czasie uroczystego bankietu młody oficer sztabu generalnego — armia chińska dostarczy pracy wytwórcom naszywek i galonów. Jednakże jak dotąd armia składa się prawie wyłącznie z młodych chłopców, którzy długie lata brali udział w wojnie partyzanckiej i wyzwolenczej. Z okresu tych ciężkich przeżyć wynieśli poczucie surowej dyscypliny, wypływającej z wolnej woli i zrozumienia sprawy.”

Po wysłuchaniu wykładu na temat strategii Armii Ludowej nadarzyła mi się sposobność rozmawiania z wicedyrektorem Nankińskiej Akademii Wojskowej. Nadmieniłem, że moim zdaniem w obecnej naprężonej sytuacji, gdy grozi niebezpieczeństwo ze strony

amerykańskich agresorów, potrzeba Chinom silnej armii. Szczególnie zainteresowała mnie sprawa poboru rekruta.

„Z pewnością istnieje obecnie w Chinach powszechny obowiązek wojskowy. — Czy czas służby jest bardzo długi?”

Na twarzy mojego rozmówcy maluje się najwyższe zdumienie.

„Powszechna służba wojskowa? Czas służby? Ani jedno, ani drugie u nas nie istnieje. Nikt nie jest prawnie obowiązany do służby wojskowej. Chińska Armia Wyzwoleńcza od pierwszego do ostatniego żołnierza składa się z ochotników. Wszyscy żołnierze tej armii zaciągnęli się do niej na własne życzenie i w każdej chwili mogą ją opuścić, aby przejść do pracy w przemyśle czy w gospodarce rolnej.”

Teraz ja z kolei jestem zdziwiony. Pięciomilionowa armia złożona wyłącznie z ochotników?

Potem usłyszeliśmy z ust szefa sztabu trzeciej armii Czena epopeję Armii Ludowej. Jej początek stanowiło kilka tysięcy żołnierzy starej armii, którzy w sierpniu 1927 r. w Nanczang podnieśli bunt przeciw Czang Kai-szekowi za zdradę rewolucji. Dowódcami tych oddziałów byli Czu Teh i Ho Lun. W szeregi Armii Ludowej napłynęli potem chłopci z Hunanu pod dowództwem Mao Tse-tunga. Tylko kilka tysięcy żołnierzy dotarło po legendarnym „długim marszu” w okolice Jenanu, aby tam podjąć walkę przeciw japońskim faszystom, którzy wtargnęli do Chin. Na tyłach Japończyków powstały olbrzymie tereny wyzwolone. Po pobiciu Japończyków przez Armię Radziecką Armia Ludowa podjęła obronę terenów wyzwolonych przed bandami Kuomintangu. W 1947 r. przeszła do ofensywy, przetoczyła się jak niepowstrzymana lawina przez Chiny i z końcem 1949 r. rozbiła resztki wojsk Kuomintangu na chińskim lądzie stałym. W ciągu tych pełnych sławy 23 lat napływały do Armii Ludowej miliony Chińczyków: robotników, studentów, drobnomieszczan i chłopów — miliony chłopów. Szli do lasów tworząc małe grupy partyzantów, które potem łączyły się w większe jednostki, a w końcu tworzyły regularną armię.

Siedzący przy moim stole młody sztabowiec zaznacza, że Armia Ludowa w ubiegłym roku uległa częściowej demobilizacji. Na moje pełne zdziwienia zapytanie wyjaśnia: „Według naszych obliczeń pięć milionów żołnierzy wystarczy do wykonania zadań, jakie stoją przed naszą armią. Gdybyśmy zaś w razie napaści na nasz kraj potrzebowali więcej żołnierzy, wówczas pošlemy na wieś dziesiątki tysięcy żołnierzy i studentów, by powiadomili chłopów, że Chiny są w niebezpieczeństwie. Jesteśmy przekonani, że po takim apelu w przeciągu kilku miesięcy napłynie do Armii Ludowej 15, a w razie potrzeby nawet 20 milionów ochotników.”

Armia Ludowa jest nowoczesnie uzbrojona. Armia ta nie tylko uzupełniała swój skład wziętymi do niewoli i przeobrażanymi politycznie żołnierzami Kuomintangu, lecz również zdobywała broń na nieprzyjacielu. Mao Tse-tung wyraził się raz, że Waszyngton jest arsenałem, a Czang Kai-szek szefem transportu Armii Ludowej.

Dzisiaj po południu obejrzelśmy na nankińskiej wystawie broni drobną część tego arsenału amerykańskiego. Widzieliśmy tam samoloty, działa, czołgi, radiostacje, miotacze ognia, karabiny maszynowe, mundury, a nawet przeznaczone dla wojsk Czanga paczki gumy do żucia, które wpadły w ręce Nowym Chinom. Ta największa w dziejach świata chyba inwestycja dowodzi, że prowadzenie wojen stało się niebezpieczne, bo nowoczesna wojna wymaga uzbrojenia mas. A prości ludzie wtedy tylko zwrócą broń przeciw swoim braciom, jeżeli uda się ich całkowicie oszukać za pomocą propagandy. To zaś staje się coraz trudniejsze. Nieraz wystarczyło, jak opowiadają moi sąsiedzi przy stole, zadać zbiegłym żołnierzom Kuomintangu pytanie: „O co walczyacie?“, by przemienić tych obalamuconych ludzi w bojowników o wolność własnego ludu.

Walka , praca i studia

Generał Czen zwraca uwagę na fakt, iż chińska Armia Ludowo-Wyzwoleńcza jest armią nie tylko walczącą, lecz także uczącą się i pracującą. W okresie żniw całe dywizje wyruszają z końmi na wieś, aby pomagać chłopom przy zwózce plonów. Setki tysięcy żołnierzy Armii Ludowej współpracuje przy odbudowie sieci kolejowej, zniszczonej po barbarzyńsku przez cofające się wojska Kuomintangu i przy naprawie wysadzonych przez nie tam na rzekach i wałów ochronnych. Armia Ludowa uprawia również własne grunty i prowadzi własne zakłady przemysłowe, które zaopatrują żołnierzy w żywność i uzbrojenie. Dąży do tego, by jej potrzeby jak najmniej obciążały ludność cywilną.

Szczególnie silne wrażenie wywarł na mnie wysoki poziom wykształcenia żołnierzy Armii Ludowej. W przyszłym roku przewiduje się w Armii wielką kampanię szkoleniową, która ma podnieść wykształcenie każdego żołnierza o jeden stopień (na przykład z poziomu szkoły powszechnej na poziom szkoły średniej). Zdumiewająca jest przede wszystkim znakomita znajomość marksizmu-leninizmu, jaką wykazują żołnierze Armii Ludowej. Umieją oni podchodzić od strony politycznej do każdego zagadnienia wojskowego, z którym zwracamy się do nich w rozmowie. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że ta armia jest rzeczywiście armią ludową, że świadomie całym sercem i duszą stoi po stronie mas ludowych i walczy za ich sprawę. Przecież większość żołnierzy pochodzi z uboższych warstw społecznych. Również lud kocha swoją armię. We wsiach, które zwiedziliśmy, chłopcy zawsze nazywali żołnierzy swoimi „synami” i „braćmi”, ilekroć rozmowa toczyła się na temat Armii Ludowej.

Bohaterzy ludowi

Naprzeciw mnie siedzi zgrabny młody chłopak, który dotąd milcząco przysłuchiwał się rozmowie. Na jego mundurze widnieje szereg odznaczeń. Gdy zapytuję, za co je otrzymał, z zażenowaniem uchyla się od bliższych wyjaśnień twierdząc, że spełnił tylko obowiązek żołnierza. Dopiero generał Czen mimo protestów młodego żołnierza informuje mnie, że mam przed sobą bohatera ludowego Chin Wschodnich, Liu Kwei-ki. Brał on udział w więcej niż 30 bitwach i był szesnaście razy ranny. Podczas bitwy pod Tse Lang-czong pomimo ciężkiej rany w rękę zdobył trzy karabiny maszynowe, sześć ręcznych i małe działo. W bitwie pod Czau-Tsung walczył dalej pomimo trzykrotnego zranienia. Jego imię jest znane w całej armii. Żołnierze wybrali go bohaterem ludowym.

Opowiadanie generała wprawiło Liu w wielkie zakłopotanie; nadmienił zaraz, że w trzeciej armii znajduje się* kilka tuzinów bohaterów ludowych.

Przy stole prezydenta rządu ludowego siedzi młodziutki żołnierz, który, gdy mu się lepiej przyjrzałem, okazuje się dziewczyną. Włosy ma zupełnie krótko obcięte, a płęć można odgadnąć właściwie tylko po kroju Inianego kitla z wojskowego płótna. Korzystam z pierwszej nadarzającej się sposobności, by dowiedzieć się czegoś bliższego o dziewczynie. Jest to Li Lan-ting, sanitariuszka — bohaterka Chin Wschodnich. Historia jej życia jest typowa dla wielu dziewcząt i kobiet chińskich, które i dziś jeszcze służą w szeregach Armii Ludowej. Li nie miała jeszcze piętnastu lat, kiedy Japończycy w poszukiwaniu partyzantów napadli na jej wieś rodzinną i wycięli w pień całą ludność. Tylko trzem osobom udało się uniknąć masakry i ująć w lasy. Wśród nich była właśnie Li. Gdy odważyła się powrócić do wsi po odejściu Japończyków, znalazła potwornie okaleczone zwłoki całej swej rodziny. Małą Li ogarnął święty gniew. Wędrowała po kraju, dopóki nie natrafiła na grupę partyzantów, do której wstąpiła, podając się za chłopca. W oddziale partyzantów walczyła szereg lat, najpierw aby pomścić śmierć rodziców, później gdy rozszerzył się jej horyzont polityczny — aby wyzwolić kraj spod obcych rządów. W dwudziestym roku życia odniosła ranę i dostała się do szpitala. Tam dopiero przekonano się, że jest dziewczyną. Ona sama aż do tej chwili nie знаła różnicy między mężczyzną a kobietą. Świadczy to wymownie o powolnym rozwoju chińskich dziewcząt oraz o wysokim poziomie moralności na wsi i w armii.

Po wyjściu ze szpitala Li otrzymała przydział do oddziałów sanitarnych Armii Ludowej. W zimie 1944 r. Łódź, w której transportowała rannych, trafiona bombą zaczęła tonąć. Li, chociaż sama ranna, raz za razem rzucała się do wody na ratunek powierzonych jej towarzyszy i zdołała wszystkim ocalić życie. Jesienią 1946 r. złamała żebro, gdy w trudnych warunkach terenowych przenosiła ciężko rannych na tyły frontu. Nie zważając na to nadal pełniła swoje obowiązki, dopóki nie padła zemdlona. Żołnierze, wśród których wielu zawdzięcza życie delikatnemu dziewczęciu, obrali ją sanitariuszką-bohaterką Chin Wschodnich.

Z szacunkiem uściśniętem dłoń małej Li. Ona zaś wyjęła nowoczesne amerykańskie wieczne pióro i nakreśliła w moim notatniku wyraźnymi literami pozdrowienia dla austriackiej młodzieży. „Za największy zaszczyt — mówiła mi — uważam to, że uznano mnie godną przyjęcia w szeregi naszej bohaterskiej Partii Komunistycznej”.

Późnym wieczorem rozstaliśmy się z dzielnymi i rozumnymi żołnierzami Armii Ludowo-Wyzwoleńczej. Kraj rozporządzający takimi ludźmi może nie obawiać się nikogo na świecie. Generał Czen oświadczył przy pożegnaniu: „My, żołnierze Armii Ludowo-Wyzwoleńczej, uważamy za swój obowiązek bronić wolności naszego kraju i dorobku nowej demokratycznej rewolucji przeciw każdemu napastnikowi. Wierzimy, że w ten sposób przyczynimy się w dużej mierze do utrzymania pokoju na świecie, bo zjednoczone i wolne Chiny są potężnym jego filarem”.

Rozstanie

Nankin był ostatnim etapem naszej podróży przez Chiny. Późną nocą parowiec przewozi nas z powrotem przez rzekę Jangtse. Barwne figury tancerzy na brzegu coraz bardziej maleją. Widać już tylko tańczące punkciki lampionów. Również i one znikają. Nad spieszącymi w dal czarnymi falami połyskują tylko ostatnie odblaski światła miasta.

Rozpoczęliśmy powrót do stron rodzinnych. Rozstanie z Chinami jest przykre dla nas wszystkich. Ostatnie tygodnie przyniosły nam ogrom niezapomnianych wrażeń. Każdy dzień starał się przewyższyć poprzedni czymś nowym, nieoczekiwanym, pięknym i interesującym. A przy tym zupełnie wyraźnie odczuwaliśmy, że to prawdopodobnie najgłębsze i najpiękniejsze wydarzenie naszego życia niepowstrzymanie zbliża się do końca. Chciałoby się powstrzymać każdą upływającą godzinę, zawołać: „Chwilo, trwaj — jesteś tak piękna”. Myśli biegną w niedaleką przeszłość i raz jeszcze ogarniają to wszystko, co się przeżyło. Jednocześnie jednak myśl wyrывa się naprzód — w przyszłość.

Za dwa dni będziemy w Pekinie, za czternaście w Moskwie, za miesiąc w ojczyźnie: jeden z nas w Australii, drugi w lasach Wietnamu, a trzeci w Paryżu. Niejednego na granicy ojczyzny oczekują kajdany, ponieważ ośmielił się szukać prawdy. Wspaniałe przeżycia w Chinach związały nas wszystkich nierozzerwalnym węzłem.

Poznaliśmy Chiny. Widzieliśmy tam zbutwiałe szczątki dawnych Chin, a także niezwykłe siły nowego państwa. Nie ma wątpliwości, że istnieją tu wszelkie podstawy do zwycięstwa nowego nad starym. Wprawdzie Chiny zaczynają od wyjątkowo niskiego poziomu gospodarczego, jednakże rozmach i entuzjazm, z jakim przystępują do budowy nowego jutra, są tak niesłychane, że można im przepowiedzieć świetną przyszłość z nieograniczonymi możliwościami rozwoju. Oczywiście pod warunkiem utrzymania pokoju

światowego. Chiny walczą o ten pokój, a wraz z nimi — wszyscy uczciwi ludzie na całym świecie.